

„Ludzie boją się czasu, czas boi się piramid”

Ludzie boją się czasu, czas boi się piramid... taki tytuł nosi moja opowieść o współczesnym Egipcie. Tytuł ten jest arabskim przysłowiem, czy aktualnym, to się okaże... Zanim trafiłam do Egiptu, wyobrażałam sobie, że jest to najbardziej rozwinięty kraj Afryki, kraj, w którym mieszkają Egipcjanie, kraj ludzi żyjących nad żyzną oazą rozwijającą się nad Nilem, w końcu kraj bezdroży i pustkowia. A jak było... No właśnie, jak było? Człowiek ma inne wyobrażenie o miejscu, w którym nie był, gdy tam się pojawia – pogląd się zmienia. Każda osoba zwraca uwagę na coś innego, toteż ta opowieść o Egipcie jest moim odczuciem tego co zobaczyłam. Zaczniemy więc podróż po kraju faraonów...

18 lipiec 2003

Piątek. To dziś. Wstajemy o 4:30 i jedziemy z Rybnika do Katowic, aby stamtąd dojechać do Warszawy na międzynarodowe lotnisko Okęcie. Do Egiptu jedziemy w szóstkę. W Rybniku na dworcu razem z Pawłem spotykamy Ewę i Rafała, w Katowicach z kolei poznaję Anię – piątą uczestniczkę wyjazdu. Aśka będzie w Warszawie.

Na warszawskim Okęciu jestem poraz pierwszy. Prawdę mówiąc, jak na lotnisko w stolicy trochę małe, za to ruch na nim naprawdę spory. Z tego, co widzę na tablicy, samoloty średnio lądują lub startują co 10 minut. Całkiem niezły wynik. Tylko na głównym holu lotniska panuje straszny rozgardiasz. Jest 13:30 zajmujemy dogodnie miejsca na hali i czekamy na Aśkę i w końcu jest. Nasz samolot dopiero za cztery godziny. Po dwóch godzinach czekania, udajemy się do stoiska Oasis Tours, w biurze którego zakupiliśmy bilety na lot czarterowy do Egiptu. Kolejka dość spora. Wydają nam bilety i każą przejść do dwóch stanowisk, gdzie dostaniemy karty pokładowe i zabiorą nam bagaż. Ustawiamy się jednakże w tych stanowiska odprawiany jest inny lot, również do Egiptu – do Sharmu na Synaju, a gdzie jest nasz? Nikt tego nie wie. W międzyczasie dostrzegamy Piaska, który z tego, co widać również wybiera się do Egiptu, ale nie leci z nami, a właśnie tym lotem do Sharmu.

W pewnej chwili okazuje się, iż nasza godzina wylotu z 17:00 zamienia się na... 20:00. Jednak do końca tego nie wiemy, bo na tablicy nadal wyświetla się godzina 17:00. Ludzie są podenerwowani, próbują się dowiedzieć czegoś bliższego. Od obsługi lotniska dowiadujemy się, że lot opóźniony jest z przyczyn operacyjnych, a nasz samolot jeszcze nie wyleciał z Egiptu!!! Jakby tego było mało jeden pan z lotniska mówi nam, że może samolot ma jakąś awarię i ją usuwają... Pięknie. W końcu lotnisko podaje informację, że rzeczywiście lecimy o 20:00, więc nie pozostaje nam nic innego jak czekać i... odprawić Ewę na jej samolot. Tak się złożyło, że Ewa na wyjazd do Egiptu zdecydowała się już po kupieniu biletów, a na nasz lot już ich nie było, więc musiała lecieć innym samolotem. Jej lot jest punktualnie o 18:30.

Po pewnym czasie pojawia się informacja, że pasażerowie naszego lotu czarterowego mogą ustawiać się do stanowisk i odbierać karety pokładowe, no i oddać bagaż. Przechodzimy przez stanowiska, dostajemy karty, ale chyba nie będziemy siedzieć przy oknie. Nasze bagaże odjeżdżają w siną dal. Mam nadzieję, że po wylądowaniu w Egipcie będą tam również. Z braku innego zajęcia wędrujemy po licznych sklepach bezcłowych. Część z nas kupuje po butelce wódki w celach „zdrowotnych” na czas pobytu w Egipcie. Potem idziemy do restauracji, gdzie w ramach tego, iż lot się sporo opóźnia dostajemy darmowe kanapki i coś do picia. W tym czasie Ewa odlatuje, my czekamy.

Kwadrans po 19 udajemy się do wyjścia nr 10, gdzie przy wejściu obsługa zabiera mi moje tępe nożyczki do paznokci, które miałam w podręcznym bagażu, gdyż według obsługi mogą stanowić zagrożenie. Nie wiem jak można byłoby coś nimi komuś zrobić... no ale

trudno, muszę je wrzucić do pudełka i w ten sposób mnie wpuszczają. Z sali widać płytę lotniska, inne samoloty, oraz te rządowe, którymi lata nasz prezydent. Na horyzoncie zaczynają zbierać się czarne chmury, nie wróży to nic dobrego. W pewnej chwili głos z megafonu informuje, iż mamy przenieść się do innej hali. Spora grupa ludzi przenosi się więc do hali nr 12, jednakże tam nie ma naszego samolotu, a trwa pokładowanie ludzi do Londynu, czyli chyba nie lecimy o 20:00. Biedna Ewa... jeszcze nic o tym nie wie i szybko się nie dowie. No i rozpuściła się burza. Przez okno nie widać niczego. Jest ciemno i leje jak z cebra. Naszego samolotu nie ma. Ponownie dostajemy informację oczywiście nieoficjalną, że lot opóźni się o kolejne 45 minut. Poza tym samolot egipski jeszcze nie wylądował, a podobno krąży nad Warszawą. O 21:10 nadal nic nie wiemy, burza minęła, samoloty już lądują i startują, a naszego nie ma. Nikt nas o niczym nie informuje. Czy ten samolot nadal kołuje??? Ludzie się złością i to nie na żarty i wcale im się nie dziwię, bo mają wykupione tygodniowe wycieczki, a nie to co my, że lecimy tam na miesiąc. Dla nich każda godzina zwłoki to znaczna strata. W pewnym momencie mają nawet pomysł bojkotu wyjazdu.

Ewa za 1 godzinę i 20 minut ląduje w Hurghadzie, a my nadal kwitniemy w Warszawie nic nie wiedząc. Bałagan na tym lotnisku jest straszny. Na hali siedzi za „biurkiem” pan udzielający informacji, ale niczego nie podaje publicznie. Ludzie muszą co pięć sekund podchodzić, żeby czegoś się dowiedzieć. Odpowiedź jest tylko jedna: samolot kołuje nad Warszawą. Wkurzam się i idę do tego gościa, no i w końcu co 20 minut podaje nam wiadomości, w zasadzie tylko taką, że samolotu jeszcze nie ma. W końcu o 21:30 pada informacja, że jest samolot, tylko, że dopiero wylądował, muszą go posprzątać, zatankować i będziemy mogli wejść na pokład. Do samolotu wchodzimy około 22:00 specjalnym rękawem prosto z hali, a startujemy dopiero po 45 minutach. Tak więc jest 22:45 Ewa już wylądowała w Egipcie. Za chwilę odczyta nasz sms, że my dopiero startujemy i będzie musiała czekać na nas sama na lotnisku.

Samolot wtacza się na pas i gwałtownie rusza, po kilku sekundach jesteśmy dość wysoko. Przez okna widać oświetloną Warszawę. Jest teraz dużo ładniejsza niż za dnia. Szkoda tylko, że miejsca mamy nie przy oknach. Podczas lotu przez moment wpadamy w dość znaczne turbulencje i samolotem trochę rzuca.

Cała załoga, jak i samolot należą do egipskich linii FleshAir. O północy dostajemy ciepły posiłek. Egipski oczywiście. Barwiony przyprawami na żółto ryż z kurczakiem, sałatkę, minibuleczkę oraz ciastko. Całkiem niezłe. Ludzie w końcu są zadowoleni. Czekają już na swoje pięciogwiazdkowe hotele z basenami i nie mogą nadziwić się, że my tak sobie jedziemy do Egiptu.

Koło godziny 2 kapitan samolotu oznajmia, że lecimy nad Istambułem. Z okien widać oświetlone miasto oraz cieśninę Bosfor, która dzieli na dwie części Istambuł oraz oddziela Europę od Azji. Wygląda to świetnie. Po 3 w nocy (w Egipcie już 4 rano) w końcu widzimy światła Hurghady. Tak, jak czytałam widać oświetlone liczne hotele, a także połyskujące baseny. Widok jest dość niesamowity, bo wszystkie drogi prowadzące do miasta są również oświetlone szpalerami latarń. Podchodzimy do lądowania. Myślałam, że ten moment jest gorszy od startu, ale jednak nie. Wsiadamy, ale jest ciepło. Pilot samolotu ogłasza, że w Hurghadzie w tej chwili jest 31 stopni Celsjusza. To dopiero czwarta rano. Ciekawe, ile będzie w godzinach południowych. Pod samolot przyjeżdżają autobusy i wiozą nas do głównego budynku. Załatwiamy tam sprawy paszportowe no i dostrzegamy czekającą na nas Ewę. Ma dość, mówi, że już nigdy więcej nie chce tego przeżywać i siedzieć w takim kraju sama nocą na lotnisku. Jesteśmy w Egipcie...

Arabska Republika Egiptu położona jest w północno-wschodniej części Afryki oraz częściowo w Azji (Półwysep Synaj). Kraj ten uznawany jest często za pomost między Afryką Północną, Azją oraz Czarną Afryką. Zajmuje powierzchnię ok. 1 mln km², z czego 93% to nieurodzajna, piaszczysto-kamienista gleba pustynna. Pozostałą powierzchnię zamieszkuje

ok. 65 milionów Egipcjan. Gęste zaludnienie niektórych obszarów jest jednym z największych problemów dzisiejszego Egiptu. Stolica kraju - Kair jest jedną z większych aglomeracji świata. Zespół miejski liczy ok. 16 milionów mieszkańców.

Egipt oblewają - od północy Morze Śródziemne, a od wschodu Morze Czerwone. Granice lądowe są liniami prostymi, poprowadzonymi na przelaj przez pustynię. Egipt od zachodu graniczy z Libią, od południa z Sudanem, a od północno-wschodu z Izraelem i Strefą Gazy.

Najważniejszym regionem Egiptu (określanym mianem wielkiej oazy) jest dolina i delta Nilu zajmująca łącznie ok. 5% powierzchni kraju. Językiem urzędowym jest arabski, a religią państwową islam, którego wyznawcy stanowią ok.90% ludności.

Egipt to jedna z najstarszych cywilizacji świata. Kraj ten pełen jest wspaniałych budowli, przepięknych dzieł kultury i sztuki, fascynujących wierzeń oraz bajecznych krajobrazów.

Prawie cały Egipt, poza wąską strefą Morza Śródziemnego, leży w zasięgu klimatu zwrotnikowego, pustynnego, odznaczającego się dużymi różnicami temperatur miesięcznych i dobowych oraz bardzo małymi opadami, nie przekraczającymi 30 mm rocznie. Najwyższe temperatury występują w lipcu (26 - 33°C, dochodząc nieraz do 46°C), a najniższe w styczniu (12-17°C). Jedynie wąski pas wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, a zwłaszcza delta Nilu, ma klimat śródziemnomorski odznaczający się łagodnymi, wilgotnymi zimą oraz upalnymi i suchymi latami.

Najlepszym okresem do zwiedzania jest wiosna i jesień, kiedy temperatury utrzymują się w granicach 30°C. Na północy kraju (Aleksandria i północne wybrzeże) czasami występują deszcze, natomiast południe jest obszarem pozbawionym opadów. W Kairze i delcie Nilu klimat jest bardziej wilgotny niż w Luksorze i Asuanie, a w kurortach nadmorskich (Hurghada) wieje morską bryza. Uff... będzie gorąco...

A może teraz trochę historii, żebyśmy wiedzieli coś więcej o tym kraju... „Dar Nilu” - taką nazwą grecki historyk Herodot ochrzcił tę starożytną cywilizację. Regularne wylewy najdłuższej rzeki świata pozwoliły na powstanie ekosystemu sprzyjającego rozwojowi rolnictwa i osadnictwa. Przez tysiące lat od lipca do października Nil podnosił się, przelewał przez swoje płaskie brzegi niosąc żyzny, czarny muł rzeczny. Urodzajny pas, szeroki na osiem do dziesięciu mil, ciągnął się przez pięćset mil na południe od delty Nilu. Ten to obszar zwykliśmy nazywać Starożytnym Egiptem, którego czas trwania datujemy od IV tysiąclecia p.n.e. do 641 r. n.e.

W historii tego kraju miały miejsce gwałtowne zmiany, które sprawiły, iż egiptologia pełna jest zagadek i nieścisłości, szczególnie pod względem chronologii dynastii i władców. Egipska historia uznaje trzydzieści dynastii. Panowanie pierwszej z nich zaczęło się w 3200 r. p.n.e. Na samym początku swego istnienia starożytny Egipt stanowił szereg osad, usytuowanych wzdłuż doliny Nilu. Jest to okres przeddynastyczny (ok. 3600-2850 p.n.e.). Z czasem powstały dwa królestwa: Górniego i Dolnego Egiptu. Około 2850 r. p.n.e. królestwa zjednoczyły się pod panowaniem półmitycznego władcy - Menesa (często identyfikowanego z historycznym królem o imieniu Narmer), który jako pierwszy nosił podwójną koronę Dolnego i Górniego Egiptu. Stolicą kraju było w tym czasie Memfis, leżące na południe od Kairu. Trudno nam dzisiaj pojąć rozmiary politycznej i religijnej władzy faraonów egipskich, którzy uznawali się za bóstwa. Nie negowali tego również ich poddani. Faraonowie uważali, że pewnego dnia opuszczą ziemię, by przyłączyć się do panteonu bóstw. Właśnie dlatego wznosili sobie „drugie domy” w postaci piramid, świątyń czy grobowców (Dolina Królów), które wyposażone były we wszystko, co mogło być im potrzebne w przyszłym życiu. Dookoła znajdowały się również grobowce dworzan, którzy mieliby po śmierci nadal służyć swojemu zmarłemu królowi.

Szczytowy okres swojego rozwoju cywilizacja egipska przeżywała w okresie Starego Państwa (2686-2181 r. p.n.e.). Powstała wówczas piramida króla Dżesera w Sakkarze oraz piramidy w Gizie. Wojna domowa zakończyła ów „złoty okres” Starego Państwa. Średnie Państwo trwało ponad 400 lat (2050-1786 r. p.n.e.). W tym czasie Egipt ponownie ugruntował swoją pozycję zasobnego i potężnego państwa. Podbicie nowych terenów (w tym m. in. Nubii) spowodowało wzrost władzy faraonów. Wzrosła atrakcyjność Egiptu. To z kolei spowodowało najazd Hykosów posiadających „najnowocześniejszą broń” - rydwan konny. Zmusili oni Egipcjan do wycofania się do Teb (Luksoru) i zarządzili Dolnym Egiptem przez 100 lat. Ostatecznie usunął Hykosów z Egiptu faraon Jahmes (ok. 1570 r.p.n.e.) oraz zainaugurował epokę Nowego Państwa.

Kolejni faraonowie przeprowadzili wiele reform, dzięki czemu Egipt stał się wkrótce dobrze zorganizowanym i zdyscyplinowanym państwem imperialnym. W okresie Nowego Państwa (1570 - 1085 r.p.n.e.) starożytny Egipt osiągnął apogeum swej świetności, o czym świadczą potężne świątynie i grobowce w Luksorze, Karnaku i Abu Simbel. Powracając z Syrii i głębi afrykańskiego lądu egipskie armie sprowadziły ze sobą bogate łupy i setki niewolników. Trzech faraonów z XVIII dynastii o imieniu Totmes znacznie powiększyło obszar imperium. Totmes I był budowniczym pierwszego grobowca w Dolinie Królów, a jego córka - Hatshepsut - wybudowała okazałe świątynie grobowe w Deir el-Bahari. Amenhotep III (1417-1379 r.p.n.e.) przyczynił się w znacznej mierze do budowy świątyni w Karnaku. Jego syn - Amenhotep IV - chcąc ukrócić wszechwładzę kapłanów boga Amona, którzy tworzyli prawdziwe państwo w państwie, zastąpił kult Amona kultem Atona. Nowa wiara odrzuciła wszelkie stworzone przez człowieka wizerunki boga, toteż świątynie zamknięto, a stan kapłański rozproszono. Zmienił również swoje imię na Echnaton (tzn. miły Atonowi) i wraz ze swoją żoną Nefretete przenieśli stolicę do Tell el-Amarna. Po jego śmierci kraj znalazł się w stanie chaosu. Młodszy syn Echnatona, Tutanchaton (1361-1351 r. p.n.e.) pod wpływem siostry, a zarazem żony Echnatona, pięknej Nefretete powrócił do Teb. Przywrócił kult Amona i zmienił imię na Tutanchamon. Panował zbyt krótko, aby przywrócić dawny ład. Zgromadził jednak ogromny skarb w postaci swojego grobowca, który jako jedyny nie padł łupem złodziei. XVIII dynastia zakończyła swe panowanie z chwilą, gdy władzę przejął uzurpator Ramzes I - człowiek energiczny, znakomity żołnierz, założyciel XIX dynastii. Jego następcą, Seti, odzyskał wszystkie utracone terytoria w Nubii, Palestynie i na Bliskim Wschodzie. Kolejny władca - Ramzes II wstąpił się jako największy i najznakomitszy budowniczy w dziejach Egiptu. Podczas jego panowania (1304-1237 r. p.n.e.) wybudowano m.in. olbrzymią świątynię w Abu Simbel i dokończono wielką salę hypostylową w Karnaku. Faraonowie XX dynastii utrzymali wielkość Egiptu do 1100 r. p.n.e. Następcom nigdy nie udało się już przywrócić dawnej świetności. W IV w. p.n.e. Persowie usunęli z tronu ostatniego faraona z egipskich dynastii.

Następnie kraj przeszedł pod panowanie Greków, kiedy w 322 r. p.n.e. został zdobyty przez Aleksandra Wielkiego (założyciela Aleksandrii). Po jego śmierci hellenistyczne imperium przypadło w schedzie jego generałom. W 305 r. p.n.e. w kraju podzielonym pomiędzy dwie kultury, gdzie hellenistyczna zdominowała egipską Ptolemeusz, gubernator Egiptu, przyjął tytuł faraona rozpoczynając tym samym rządy dynastii ptolemejskiej. Aleksandria stała się najważniejszym centrum cywilizacji hellenistycznej. Pomimo wprowadzenia greckich bogów, Ptolemeusze czcili egipskie bóstwa i zarządzili podobnie jak faraonowie, wznosząc okazałe świątynie, takie jak w Edfu i Kom Ombo. Spory wewnątrz dynastii doprowadziły do utraty władzy na rzecz Rzymu. W 54 r. p.n.e. Juliusz Cezar zaatakował Egipt i zdobył Aleksandrię. Królowa Kleopatra - ostatnia z dynastii Ptolemeuszy - dzięki Juliuszowi Cezarowi, któremu urodziła syna Cezariona zdołała na 20 lat (51-30 p.n.e.) zachować wolność dla Egiptu. Po śmierci Cezara, aby chronić egipską niepodległość, weszła w podobny układ z Markiem Antoniuszem. Kiedy jednak ich floty poniosły klęskę w bitwie

morskiej pod Akejum, obydwójce woleli popełnić samobójstwo. Wraz z jej śmiercią zginął na zawsze hellenistyczny Egipt. Na wiele stuleci państwo zostało prowincjonalnym terytorium zarządzanym z Rzymu, a potem z Konstantynopola.

W VII wieku rozpoczął się okres ekspansji Arabów, którzy podbili Bliski Wschód razem z Persją, Północną Afrykę oraz część Hiszpanii i Francji. Egipt najechany przez Arabów w 639 r. uległ siłom muzułmańskim. W ciągu 300 lat stał się jednym z najważniejszych politycznych, wojskowych i religijnych ośrodków imperium arabskiego.

Okolo 968 r. zdobyli w Egipcie władzę Fatymidzi, którzy założyli nową stolicę w Kairze. Najwspanialszą pamiątką po ich dwu wiecznym panowaniu jest słynny uniwersytet i meczet Al-Azhar. Imperium Fatymidów podbite zostało przez armie Saladyna, założyciela dynastii Ajjubidów (1169 r.), którego potomkowie zostali wyparci przez nową falę uzurpatorów - tureckich żołnierzy (Mameluków), a tych z kolei podbiły potężne wojska Turków Osmańskich (1517 r.). Po śmierci sułtana Sulejmana Wspaniałego jego dominia podupadły na około 350 lat. Pierwszy kontakt Egiptu ze współczesnym światem nastąpił w 1798 r., kiedy udała się tam francuska ekspedycja wojskowa pod dowództwem młodego Napoleona Bonapartego. On to wprowadził trochę porządku i dyscypliny w zarządzaniu Egiptem oraz zapoczątkował ekspedycje archeologiczne. Po porażce armii francuskiej z Brytyjczykami w bitwie pod Abu Kirem (1798 r.) Napoleon zbiegł do Francji.

Wśród wojsk osmańskich, które walczyły z francuską inwazją znalazł się Mohamed Ali. Dzięki przebiegłości i okrucieństwu udało mu się przejąć władzę, a sułtan mianował go paszą Egiptu (1811 r.). Po umocnieniu swojej władzy (własna flota, unowocześnienie handlu i rolnictwa) Mohamed Ali dwukrotnie występował zbrojnie przeciwko swojemu zwierzchnikowi w Stambule. Sułtan widząc niezależność byłego wasala zmuszony został do podjęcia decyzji o sukcesji tronu dla potomków Mohameda Ali. W 1869 r. otwarto dla żeglugi Kanał Sueski. Następcy Mohameda Ali nie dorównali mu jednak energią ani wyobraźnią, co spowodowało przejście pełni władzy przez Brytyjczyków. W 1935 r. na tron wstąpił król Faruk, który podpisał traktat angielsko-egipski kończący brytyjską okupację w Egipcie. Podczas I i II wojny światowej Egipt był doskonałą bazą wypadową dla sił alianckich. Po zakończeniu wojny w wyniku antybrytyjskich demonstracji brytyjskie wojsko zostało usunięte z Egiptu (1947 r.). Po przegranej wojnie z Izraelem w 1948 r. podpisano układ (luty 1949 r.) pozostawiający palestyńską Strefę Gazy pod kontrolą Egiptu. W wyniku kryzysu w związku z ciągle kontrolowanym przez Brytyjczyków Kanałem Sueskim w 1952 r. wypowiedziano Wielkiej Brytanii traktat z 1936 r.

W kraju narastało wrzenie i król został obalony przez oficerów pod dowództwem gen. Mohammeda Naguiba. Wkrótce miejsce Naguiba zajął architekt przewrotu, pułkownik Garnał Abdel Naser, który ogłosił kraj republiką 26 lipca 1953 r., a w czerwcu 1956 r. został prezydentem Egiptu. Rozpoczął przebudowę i modernizację gospodarki (m.in. Tama Asuańska) oraz znacjonalizował Kanał Sueski. Po śmierci Nasera władzę przejął Anwar Sadat (1970 r.). Nie miał charyzmy poprzednika, ale jego bardziej umiarkowany styl sprawowania rządów przyczynił się do stabilizacji państwa mocno nadwyrężonego ciągłymi wojnami z Izraelem. Po upokorzeniach z lat 1948, 1956 i 1967 częściowy sukces z 1973 r. przywrócił Egipcjanom wiarę w siebie i pozwolił Sadatowi odzyskać okupowany przez Izrael Synaj. Uznanie Izraela przez Egipt spotkało się z potępieniem przywódców arabskich i przyczyniło się do zamordowania Sadata w 1981 r. przez muzułmańskich fundamentalistów. Później Liga Państw Arabskich potwierdziła znaczące miejsce Egiptu w świecie arabskim, ponownie otwierając w 1990 r. swoją siedzibę w Kairze.

Prezydentura Hośni Mubaraka (od 1981 r.) charakteryzuje się pragmatycznym podejściem do spraw polityki. Problemy, z jakimi przyszło mu się borykać, są poważne: zatrudnianie dzieci, 20-procentowe bezrobocie, skorumpowana administracja czy żywiolowy

przyrost naturalny. Egipcjanie są świadomi znaczenia, jakie mają dla nich zagraniczne inwestycje oraz przemysł turystyczny.

19 lipiec 2003

Po spotkaniu z Ewą idziemy szukać taksówki z lotniska na dworzec autobusowy, bo podobno koło 6 rano jedzie autobus z Hurghady do Luxoru. Jest już piąta, więc trzeba się spieszyć. Na dworze jeszcze ciemno. Podchodzimy do postoju taksówek. Od razu jest kilku chętnych na zawiezenie nas dokąd chcemy. Rzucają nam ceny nie z tej ziemi. Co oni sobie myślą, że na jakichś bogaczy trafili czy jak? Ostatecznie wynajmujemy tzw. dużą taksówkę, czyli na siedem osób za 40 funtów egipskich (zapewne i tak jest to za dużo) i jedziemy na dworzec. Taksówką przemierzamy puste jeszcze ulice miasta. Na pierwszy rzut oka to bogate miasto dla turystów z zagranicy, piękne hotele, szerokie wielopasmowe i oświetlone ulice. Jednakże kiedy docieramy na dworzec, ten prezentuje już całkiem inny widok... wręcz opłakany. Tutaj w przeciwieństwie do miasta, życie mimo wczesnej pory kwitnie całkiem nieźle. Arabowie w swoich różnokolorowych dżelabijach o różnych krojach oraz z turbanami zawiniętymi na nieskończoną ilość sposobów, okupują dworzec i jego okolicę. Jedni siedzą i piją herbatę, inni palą sziszę (wodną fajkę), a jeszcze inni kłócą się między sobą. Wszystko to dzieje się przy znacznym zgłębku, hałasie nadjeżdżających egipskich autobusów dalekobieżnych no i... w wielkim brudzie. Wszędzie walają się śmieci, które jakoś nikomu nie przeszkadzają.

W tym wszystkim próbujemy dowiedzieć się czegoś na temat autobusu do Luksoru, bo mija już 6 rano, a jego nie ma. Każda zapytana przez nas osoba podaje nam inną godzinę przyjazdu tego autobusu. Sami już nie wiemy czy ten autobus w ogóle istnieje. Siedzimy więc na krawężniku i przyglądamy się ludziom oraz wjeżdżającym nowym autobusom z nadzieją, że w końcu zajedziemy ten właściwy. Jednak nic z tego, czas mija, a jego nie ma. Próbujemy załatwić wieloosobową taksówkę do Luksoru, ale ceny jak na początek wyprawy są zbyt duże. Za wynajęcie taksówki żądają 250 funtów. My plus bagaż, byłibyśmy ściśnięci niczym sardynki w puszcze.

Po 8 rano w końcu coś się rusza, ale nie w kwestii autobusu, bo go nadal nie ma. Podchodzi do nas Arab, który proponuje nam, że załatwi przejazd do Luksoru oraz hotel na miejscu. Targowanie chwilę trwa, ale w końcu mamy w miarę optymalną cenę – 225 funtów i to nie za taksówkę, ale za busa! Poza tym hotel za 12,5 funta ze śniadaniem. Decydujemy się na taką ofertę, bo lepsza może się już nie trafić i będziemy tkwić w tym miejscu jeszcze sporo czasu. Nasz wybawca jedzie z nami, więc zostaje zasypany przez nas całą masą pytań, bo jeśli już trafiło nam się takie źródło informacji, to należy z niego skorzystać.

Wyjeżdżamy z Hurghady i wyjeżdżamy, miasto ciągnie się kilometrami wzdłuż Morza Czerwonego. Za miastem nie ma nic oprócz kamienistej pustyni, a po pewnym czasie pojawia się widok na Morze Czerwone. Pędzimy szerokimi drogami bez kolein, znanych nam z Polski. Naszą jazdę w pewnym momencie przerywa punkt kontrolny, obstawiony policją. Ludzie ci dość gwałtownie rozmawiają z naszym kierowcą, co wygląda na to, iż coś jest nie tak. Zostajemy odstawieni do konwoju wraz z dwoma innymi autokarami wiozącymi zagranicznych turystów. W Egipcie na kilku trasach nie można podróżować samopas. Trzeba jechać w konwoju pod eskortą uzbrojonej policji. Sama eskorta to kilku Arabów w mundurach, posiadających broń i poruszających się specjalnym granatowym autem. Arabowie boją się napadu terrorystów na autokar. Muszą chronić turystów, bo ci z kolei zostawiają sporo pieniędzy w Egipcie, a bez nich żyło by się o wiele gorzej. Tak więc nie pozostaje nam nic innego, jak po prostu jechać w tym konwoju. Po pewnym czasie zatrzymujemy się na małą przerwę w miejscu do tego wyznaczonym. Stoi tam bardzo dużo autokarów z innych konwojów. Jest tu mała restauracyjka oraz oczywiście bazar dla turystów, gdzie mogą sobie kupić różnorodne figurki, dżelabije, a także przejechać się na wielbłądzie. Tutaj też okazuje się, iż oba autokary jadące z nami, to wycieczka Polaków.

Gdy dojeżdżamy do Qeny robi się zielono, gdyż płynie tutaj jakaś rzeka, tak więc wzdłuż niej ciągną się całe szpalery palm (jak ja je lubię!!!), ludzie uprawiający pola. Osiolki dookoła drepczą o dziwo posłusznie. Poza tym wzdłuż drogi pasie się nieliczne bydło. W jednym momencie widzę zanurzonego w wodzie nie kogo innego, jak mojego ulubionego bawoła wodnego, który tak bardzo spodobał mi się rok temu w Chinach.

Po ponad 300 kilometrach w końcu docieramy do Luksoru. Luksor jest niewielkim miasteczkiem. Liczy ok. 40 tysięcy mieszkańców. W starożytności znany był jako „stubramne Teby” - przez ponad tysiąc lat stolica Egiptu. Wielkie miasto zburzyli Asyryjczycy pod wodzą króla Assurbanipala w 672 r.p.n.e., ale pamiątki dawnej chwały pozostały. W samym Luksorze jest piękna świątynia Amona-Re i świetne muzeum archeologiczne. W nieodległym Karnaku zachował się gigantyczny kompleks świątynny poświęcony bogom: Amonowi-Re, Mut i Montu, a na zachodnim brzegu Nilu - Państwo Umarłych.

Zostajemy zawiezieni do hotelu, gdzie dostajemy całkiem fajne pokoje z klimatyzacją. Uff, to dobrze, bo na zewnątrz jest jak w saunie. Najlepiej nawet nie wychodzić z pokoju, bo ukrop panuje już na korytarzu. Arab, który nas tu przywiózł w hotelowej recepcji zaserwował nam herbatkę i pierwszą arabską potrawę, o której wcześniej czytałam – falafel. Jest to placek chlebowy nadziewany m.in. soją, pomidorami, ogórkami i małymi kotlecikami z warzyw, bo mięso to, to nie jest. Całkiem smaczne. Poza tym Arab wymienia nam dolary na funty egipskie, po korzystnym kursie. No i w końcu po załatwieniu wszystkich formalności idziemy na zasłużony odpoczynek i prysznic, a potem wałkonimy się do 16:00.

Po odpoczynku wychodzimy z hotelu... żar leje się z nieba jak nie z tej ziemi. Trzeba się przyzwyczajać, tak będzie przez całe cztery tygodnie. Błądząc udajemy się nad Nil, aby feluką – specjalną łodzią z ogromnym żaglem – popłynąć na Bananową Wyspę, położoną 4 kilometry w górę rzeki, a potem obejrzeć zachód słońca siedząc w łodzi na środku Nilu. Płynie się przyjemnie. Rafał dość intensywnie dyskutuje z jednym Arabem, który steruje feluką. Podziwiamy widoki – wschodni brzeg Nilu to miasto Luksor, zachodni – to pustynne starożytne Teby, które niegdyś służyły za cmentarzysko królów i faraonów.

Dopływamy do Bananowej Wyspy, płacimy za wstęp, dostajemy przewodnika i ruszamy w głąb „lasu”. Oprócz lasu bananowego znajdują się tutaj również drzewa pomarańczowe, mandarynkowe i mangowe. Przewodnik oprowadza nas po wyspie opowiadając i wskazując różne drzewa. Na końcu wycieczki zasiadamy na fotelikach, wykonanych chyba z bananowca i zajadamy się małutkimi bananami, które przyniósł nam przewodnik. Ewa karmi bananami jednego psa, a ten o dziwo zjada je ze smakiem i czeka na następne kawałki.

Ponownie wsiadamy do łódki i odpływamy. Płyniemy teraz wraz z nurtem Nilu. Nasz „kapitan” wraz ze swym pomocnikiem stawiają ogromny żagiel. Dziwimy się, że wytrzymałe to jakoś maszty feluki, który niesamowicie wygina się w pałąk. Wypływamy na środek rzeki i czekamy na zachód słońca.

Po powrocie na brzeg spacerujemy uliczką Luksoru i postanawiamy przejechać się bryczką ciągniętą przez konia. Bryczka wygląda tak, jak z początku XX wieku. Jak na nią patrzę, to od razu widzę panie w długich, jasnych sukienkach, mających na głowach charakterystyczne „czapeczki” z lat 20 – 30 – tych. Po tej przyjemności udajemy się, aby coś przekąsić. Wybór ponownie pada na falafle. Najmniej z tego zadowolony jest Paweł, który falafli ma dość od czasów wyjazdu bodajże do Iranu, czy też Syrii. Falafle kupujemy w zwykłej budce, Arab pakuje nam każdego w gazetę. Siadamy więc na obskurnym murku, w obskurnej uliczce i z tej obskurnej gazety jemy kolację.

Już wieczorem w hotelu fundujemy sobie „dla zdrowotności” odrobinę naszej polskiej wódki. O 22:00 padamy niczym muchy. Wszyscy marzą o śnie, którego dawno już nie było...

20 lipiec 2003

5:30 w pokoju dzwoni telefon z recepcji, że pora wstawać jeśli chcemy przed ukropem zdążyć coś zobaczyć na zachodnim brzeg Nilu. Wstajemy z oporami, bo tak dobrze się spało, a jeszcze nie odespaliśmy przyjazdu. Rafał przynosi całej grupce śniadanie z hotelowej restauracji tj. bułki, serki topione i dżem figowy.

Wczesną porą ruszamy na zachodni brzeg Nilu. Przechodzimy przez jeszcze ciche i spokojne uliczki miasta. Pogoda o świcie jest przyjemna. Wsiadamy na prom płynący na drugą stronę rzeki. Nad Nilem unosi się poranna bardzo delikatna mgła, a w oddali widać szybujący balon. Woda w Nilu dość brudna, co nie przeszkadza pracującemu na łodzi Arabowi napić się z niej kubka wody. Już na brzegu wynajmujemy taksówkę, która ma nas zawieźć do kas biletowych. Dzisiaj chcemy zobaczyć sławną Dolinę Królów. Zachodni Brzeg Nilu był niegdyś państwem w państwie. Egipcjanie przywiązywali olbrzymią wagę do życia pozagrobowego. Dlatego na zachodnim brzegu urządzili wielką nekropolię składającą się z grobów, świątyń grobowych i wiosek, w których mieszkali pracownicy tego całkowicie zamkniętego, niegdyś zupełnie odciętego od świata terytorium. Cały teren obejmuje aktualnie kilkanaście rejonów archeologicznych. Dolina Królów to wąwóz wciśnięty we wzgórze Al Qurn, pozbawionych jakiegokolwiek zieleni. Wszystko ma charakter pustynny. W ścianach wąwozu wykutych jest ponad 60 grobów, w których pochowane były przede wszystkim mumie faraonów. Groby są bardzo charakterystyczne. To już nie piramidy, tylko wykute w skale, nierzadko parusetmetrowe, korytarze. Na ich końcu, w granitowych sarkofagach na wieki miały spoczywać doczesne szczątki królów. Los, a raczej grabieżcy, sprawili, że w całości dotrwał jedynie nieduży grób kiepskiego władcy Tutenchamona. Znaleziona w nim wielka ilość złota i drogocennych przedmiotów, może jedynie sugerować jak wielkie bogactwa były ukryte w grobach Ramzesa II czy Totmesa III. Teraz można jedynie zachwycać się pięknem zachowanych reliefów. Naukowcy przypuszczają, że na terenie doliny nie wszystkie istniejące groby zostały odnalezione. Dotarcie do któregoś z następnych byłoby archeologicznym wydarzeniem stulecia.

Jednakże zanim wchodzimy na teren grobowców, zostajemy przeszukani przez policję turystyczną, przechodzimy przez bramki do wykrywania metali. Arabowie boją się, że ktoś może wnieść jakiś niebezpieczny przedmiot i może powtórzyć się masakra turystów z roku 1997. W ramach biletu zwiedzamy trzy grobowce: Ramzesa III, Horemheba oraz Merenptaha. Ściany pokryte są licznymi hieroglifami.

Egipskie inskrypcje hieroglificzne wraz z reliefami pokrywają mury starożytnych świątyń rozsianych na obszarze od płn. Deltę Nilu po Sudan. Na pierwszy rzut oka trudno je odróżnić od obrazów bóstw, ubóstwionych władców czy ludzkich postaci. Przez wiele stuleci aż do 1822 r. kiedy to zostały odczytane przez Jana Franciszka Champolliona znaki te były zaszyfrowane. Ci którzy próbowali je odczytać najczęściej czynili to błędnie i poszukiwali w nich tajemnych, magicznych treści. Champollion odcyfrował pismo egipskie w oparciu o tzw. „kamień z Rosetty”, na którym zapisano w czasach ptolemejskich dekret królewski napisany w trzech rodzajach pisma: greckim, hieroglificznym i demotycznym. Pismo starożytnego Egiptu powstawało w długim i skomplikowanym procesie rozwojowym. Wywodzi się z pierwotnych obrazków piktogramów za pomocą których starożytni mieszkańcy doliny Nilu usiłowali przekazać swoim bliskim jakąś informację. Takie piktogramy nie były jeszcze pismem, gdyż nie posiadały wartości fonetycznej. Przedstawiły jedynie określone przedmioty materialne lub istoty żywe. Gdy pojawiły się znaki uściślające treść i wartość fonetyczną zapisu narodził się początek pisma. Egipcjanie jak większość ludów habitosemickich nie notowali samogłosek, a jedynie spółgłoskowy szkielet wyrazu. Do zapisu używano ideogramów, czyli znaków graficznych całych wyrazów, które kojarzyły się z

konkretnymi przedmiotami lub pojęciami. Następnym etapem rozwoju pisma egipskiego było wprowadzenie fonogramów, znaków graficznych, dźwięków, które uściślały treść i wartość fonetyczną wyrazu. Stanowiły one szczególnie ciekawą grupę znaków, które dziś przybliżają nam wokalizację egipskiego języka.

Prawdopodobnie powstawały z ideogramów, które przestały oznaczać przedmioty i pojęcia a zostały użyte do oznaczania dźwięków. Jest takich fonogramów około 30. Dziś mówi się nawet o tzw. alfabecie egipskim mimo, że nigdy znaki te nie pełniły takiej funkcji. Do takiego spółgłoskowego szkieletu Egipcjanie dodawali znak stojący na końcu wyrazu, określający znaczenia danego słowa. Taki znak zwany jest determinatywem. Ideogramy, fonogramy i determinatywy uzupełniają się wzajemnie. Sztuka pisania w starożytnym Egipcie nie była zbyt popularna. Umiejętność tę posiadała nieliczna grupa kapłanów, urzędników czy pisarzy, którzy podczas czytania spółgłoskowy szkielet wyrazu łatwo uzupełniali brakującymi samogłoskami. Tak uproszczony sposób sprawia, że do dzisiaj nie zawsze możemy być pewni brzmienia egipskich nazw. Pierwsze zapisy hieroglificzne pojawiły się przed 3000 lat p.n.e. za panowania trzech pierwszych dynastii. Z tego okresu zachowały się tylko zapisy imion władców i wielmożów, tytułatura faraonów i nazwy geograficzne. Hieroglify (gr. święty) to nazwa nadana przez starożytnych Greków najstarszym znakom pisma egipskiego. Pismo hieroglificzne przetrwało w Egipcie od okresu Starego Państwa do okresu rzymskiego. Jego zastosowanie było ograniczone. Hieroglify traktowano jako pismo ornamentalne i używano do napisów na fasadach świątyń i ścianach grobowców oraz przedmiotach kultu i rytuału. Niemal jednocześnie z pojawieniem się hieroglifów wykształcił się rodzaj kursywy hieroglificznej, która znaczyła jedynie kontury znaków. Tak narodziło się pismo hieratyczne, zwane z greckiego pismem kapłańskim, świętym. Pismo to było używane do zapisów w dokumentach administracyjnych i prywatnych. Z czasem notowano nim utwory literackie. Do końca Nowego Państwa było powszechnie używanym pismem na terenie całego Egiptu. W Epoce Późnej pismo hieratyczne uprościło się i przekształciło w tzw. pismo demotyczne. Nazwa tego pisma wywodzi się w ślad za Herodotem, od greckiego słowa demotikos, znaczący ludowy. Choć w czasach ptolemejskich pismo to nazywano pismem ksiąg. Pierwsze zachowane dokumenty pochodzą z czasów saickich - kontrakty, umowy, teksty prawne i administracyjne. W zestawieniu z hieroglifami i hiertykiem pismo demotyczne sprawia wrażenie scenografii, gdyż zapis jest zbliżony do zapisu fonetycznego. Demotyki używano do V w. n.e. Ostatnie graffiti pochodzi ze świątyni Izdy na wyspie Philae. Pismo egipskie przeważnie czyta się od prawej strony lub od góry. Nie jest to jednak jedyny sposób zapisu i często występują tu wyjątki, będące poważnym nieporozumieniem przy odczytywaniu różnych tekstów.

Jest dopiero 9 rano, a pot z nas zaczyna łać się strugami, ponadto w grobowcach panuje straszliwa duchota. Muszę się wachlować, bo w środku jest nie do wytrzymania. Cały czas pijemy wodę, która i tak z nas paruje i to chyba szybciej niż my jesteśmy w stanie dostarczać ją do organizmu.

Zachodni brzeg Nilu w okolicach Luksoru, jest prawdziwym zagłębiem pamiątkarskim. Na setki liczy się manufaktury wyrabiające ze skórek od pomarańczy i bananów obrazki, sprzedawane później turystom jako papirusowe. Jest też mnóstwo zakładników kamieniarskich wyrabiających z alabastru całe armie Anubisów, Totów, Izyd i wszelkiej maści innych bóstw egipskich. Dlatego też idąc w kierunku postoju taksówek ulegamy pokusie zajrzenia do przydrożnych sklepików. Każdy z nas coś kupuje. Wzbogacam się o białą chustę, a także razem z Pawłem kupujemy po 3 bazaltowe figurki. Paweł bardzo długo targował się z Arabem o te figurki. Arab stuknął jedną o drugą, co miało pokazać, że one naprawdę są z bazaltu. Gdy wracamy do reszty Paweł demonstruje swój zakup uderzając dwoma figurkami, że to „bazalta”, a tu nagle jednej z figurek odpada głowa. Wszyscy się śmieją, że daliśmy się nabrać, hmm ale w środku są zielone minerały... zielone jak oliwin,

który występuje w bazalcie. Głowa figurki pękła na granicy „bazaltu” i minerału. Sama już nie wiem co to jest. Wsiadamy do taksówki jedziemy do kolejnego miejsca – świątyni Ramzesa II.

Ramesseum jak wszystko co jest związane z Ramzesem II jest gigantyczne. Tu już jednak władca ów przesadził. Świątynię postanowił upiększyć własnym posągami ważącym ni mniej ni więcej tylko tysiąc ton. Statua nie wytrzymała własnej masy i rozpadła się. Gigantyczne szczątki można obejrzeć porozrzucane (o ile to odpowiednie określenie dla kawałków liczących po kilkadziesiąt ton) obok wejścia do sali hypostylowej. Na ścianach Ramesseum wyryte są sceny przedstawiające nierozstrzygniętą bitwę z Hetytami pod Kadesz (ulubiony motyw zadufanego faraona-chwalipięty przekonanego, że bitwę ową wygrał). Na tronie posągu Ramzesa wyrył głęboko swoje nazwisko *Giovanni Belzoni* - jeden z najślynniejszych XIX-wiecznych pseudo-archeologów-wandali.

Po zwiedzeniu świątyni przechodzimy na drugą stronę pobliskiej drogi, aby zobaczyć grobowce dostojników – Ramosego, Usherhata. Grobowce te wykute są oczywiście w skale, a co ciekawe znajdują się w samym środku małej wioski, a właściwie wioska jest na nich położona. Nie przedstawiają niczego rewelacyjnego, oprócz tego, że jeden z nich oświetlany jest światłem słonecznym odbitym od lustra, tak samo, jak było to przed tysiącami lat.

W okolicach Doliny Królów znajdują się pozostałości kilkunastu świątyń grobowych faraonów XVIII i XIX dynastii. Kilka z nich zachowało się w dobrym stanie, a świątynia Ramzesa III w Medinet Habu jest niemal nienaruszona. Z grobowców dostojników łapiemy bardzo taną taksówkę (3 funty za 6 osób) do Medinat Habu.

Właśnie w Medinet Habu w wielu miejscach zachowały się kolorowe ścienne malowidła. Z dachu świątyni rozciąga się doskonała panorama doliny Nilu. Faraon Ramzes III wzorując się na swym poprzedniku kazał wybudować równie gigantyczną świątynię, która swymi rozmiarami ustępuje tylko Karnakowi.

Z Medinat Habu wracamy na przystań nad Nilem i ponownie przeprawiamy się do Luksoru i zmierzamy do hotelu. Po drodze przez przypadek trafiamy do darmowej kliniki dla koni i osłów. Dowiadujemy się, iż pieniądze pochodzą z angielskiej fundacji, a weterynarze leczą źle traktowane i poranione zwierzęta. Tutaj każdy mieszkaniec może przyprowadzić swoje zwierzę i będzie ono leczone za darmo.

Idziemy dalej i odkrywamy sklepik z pamiątkami, postanawiamy wejść, gdyż zachęcają nas ceny, które ku naszemu zdziwieniu są wystawione obok przedmiotów. Arab – właściciel sklepiku gada jak najęty, ale przynajmniej zna bardzo dobrze język angielski, a poza tym ciekawie opowiada. Na początek częstuje wszystkich herbatą, każe siadać i oglądać swój towar, przy czym mówi, iż nigdzie taniej nie kupimy. Buszujemy więc po jego sklepiku. Jest Nubijczykiem, co zresztą widać po jego posturze. Opowiada, że jego ojciec zginął w Jeziorze Nassera, zjedzony przez krokodyla, bo jego ciała nigdy nie odnaleziono. Potem zaczyna opowiadać inną historię, o tym jak był na miejscu masakry turystów, w większości niemieckich w Dolinie Królów w 1997 roku. Tego feralnego dnia prowadził dwoje Japończyków. Japonka źle się poczuła więc zabrał ją w inne miejsce, a jej mąż poszedł zobaczyć grobowce. W czasie kiedy siedzieli w oddalonym od grobowców miejscu, usłyszeli dochodzące z doliny strzały. Pomyślał, że to w dolinie zapewne znowu kręcą jakiś film. Po pewnym czasie wrócili do doliny po Japończyka. Wszedł do grobowca i zobaczył co się stało. W grobowcu leżeli zamordowani turyści. Wewnątrz byli również terroryści przyłożyli mu nóż do gardła, ale jednak wypuścili, a on bardzo szybko stamtąd wyszedł, bo przed grobowcem pozostawił Japonkę. Jej mąż został zabity. Gdyby terroryści ją zobaczyli, zamordowaliby również. Po wyjściu z grobowca chwycił ją i zaczął uciekać. Terroryści zorientowali się i rozpoczęli strzelać do nich. On został zraniony w bark, a Japonka w nogę. Egipska policja pojawiła się dopiero godzinę po masakrze, bo prawdopodobnie bała się i nie była na tyle uzbrojona, co terroryści. Właśnie po tym incydencie w Egipcie pojawiła się licznie policja

turystyczna, a na kilku trasach - specjalne konwoje. Ale wracając do opowiadania... on i Japonka leżeli w szpitalu i odwiedził ich prezydent Egiptu – Mubarak, który za jego bohaterski czyn w nagrodę sprezentował mu ten sklepik, gdzie może sprzedawać swoje artystyczne wyroby. Poza tym ma stały kontakt z uratowaną Japonką, która co jakiś czas bywa w Egipcie i część jego wyrobów zabiera do Japonii.

U tego sklepikarza kupujemy kilka figurek. Przy okazji dowiadujemy się, jak rozpoznać bazalt od nie bazaltu. Nubijczyk twierdzi, że te nasze figurki nie są z bazaltu... no to w takim razie po jakiego czorta wciskano by ten zielony minerał??? Równie dobrze można byłoby wrzucić jakieś kamienie. W sklepiku nie obywa się bez pewnego incydentu. Sklepikarz rozdaje nam na pamiątkę pocztówki, ale jednej zabrakło i musiał po nią wyjść. Razem z nim poszła Doktor Bakteria, no i ten „sympatyczny” Arab nie mniej, ni więcej tylko próbował dobierać się do naszej Ani.

W hotelu siedzimy do 18:00, w pokoju jest tak super, kiedy działa klimatyzacja. Wieczorem wychodzimy, aby zobaczyć świątynię w Luksorze. Świątynia Amona-Re w Luksorze jest ładnym, niezbyt dużym, doskonale zachowanym sanktuarium. Bardzo ładnie położona - wtopiona niemal w bulwar nad Nilem, okolona palmami rzucającymi przyjemny cień. Szczególnie efektownie wygląda nocą po uruchomieniu oświetlających reflektorów. Budowali ją: wielki zdobywca - Totmes III (XV w.p.n.e.), wielki prawodawca i gospodarz - Amenhotep III (XIV w.p.n.e.), a trzy grosze w postaci swoich sporych granitowych posągów dorzucił znany gigantoman - Ramzes II. Świątynia była niegdyś niemal całkowicie zasypana przez piasek. W tym czasie muzułmanie zbudowali na jej terenie meczet. Piasek usunięto i meczet jest teraz efektownie zawieszony nad głowami zwiedzających turystów mniej więcej na wysokości 2 piętra.

Przez teren świątyni przewalają się całe tłumy turystów z całego świata. Siedzimy, aż do zachodu słońca na głównym dziedzińcu. Potem postanawiamy zjeść kolację „na mieście”. Trafiamy do restauracyjki i zamawiamy drugą słynną potrawę arabską – kushari. Jest to makaron pomieszany z ryżem oraz różnymi przyprawami, a także sosem. Aśka dodała za dużo ostrego sosu i mało co, a potrawa wypaliłaby jej przełyk.

Po kolacji idziemy na dworzec kolejowy kupić bilety do Asuanu. Nie ma z nimi problemu, nawet zniżkę na kartę ISIC dostajemy. Dość późny wieczór spędzamy na jedzeniu łyżkami dwóch arbuzów. O 23:00 z właścicielem hotelu idziemy na taniec brzucha. Prowadzi nas do innego budynku... spory kawałek od hotelu. Kiedy dochodzimy do miejsca, wjeżdżamy na samą górę budynku, gdzie znajduje się jakaś knajpka. Tu mamy się i poczekać, zamówić sobie coś do picia. Jak dla nas gość zachowuje się dość podejrzanie, więc postanawiamy wracać do hotelu, po co ryzykować jakąś przygodę. Po powrocie do hotelu w naszych pokojach dzwonią telefony, ale po drugiej stronie nikt się nie odzywa. Mamy trochę stracha, ale idziemy spać...

21 lipiec 2003

Wstajemy koło 7 rano i idziemy na śniadanie do restauracji. Zamiast omleta, o którym tyle mówił Paweł, dostajemy to, co wczoraj, czyli po dwie bułeczki – paluchy, serek i dżem. Na całe nasze śniadanie musimy czekać prawie pół godziny, bo tyle czasu zajmuje Arabowi jego przygotowanie, tzn. położenie na talerzach wszystkich rzeczy!!!! O herbatę musimy się jeszcze dopraszać, bo bez tego nie dostalibyśmy jej. Ten Arab powinien dostać nagrodę w kategorii najdłużej obsługujący kelner...

Po śniadaniu łapiemy taksówkę i jedziemy zobaczyć Karnak. Kompleks świątynny bogów: Amona-Re, Mut i Montu jest bez wątpienia największym egipskim starożytnym rumowiskiem i jedną z największych świątyn zbudowanych kiedykolwiek w dziejach świata. Amon był niegdyś najpotężniejszym bóstwem egipskim, a jego arcykapłani z Karnaku

nierzadko sięgali po korony królewskie. Akcja „Faraona” Prusa rozgrywa się właśnie częściowo na terenie tej świątyni (np. scena zaćmienia słońca) - w filmie Jerzego Kawalerowicza. Kompleks jest wprost gigantyczny. Obszarem jest większy od państwa Watykan, a sama świątynia Amona-Re niewiele ustępuje temuż państwu. Całość budowano ponad 2 tysiące lat. Budowę rozpoczęto około 1960 r.p.n.e., a zakończyli ją dopiero rzymscy cesarze. Podziw wzbudza 10 ogromnych pylonów, a szczególnie Wielka Hala Hypostylowa ze swymi 134 kolumnami, każdą ważącą paręset ton. Owe 134 kolumny stawiano ni mniej, ni więcej tylko prawie 200 lat! Wszystkie zachowały się w doskonałym stanie do dzisiaj, choć próbowali je zmóc wielcy zdobywcy (Asyryjczycy króla Assurbanipala). Całość rumowiska można ogarnąć, z któregoś z pylonów lub dachu hali hypostylowej. Wejście na nie jest oczywiście zabronione.

Po dwóch godzinach błakania się po terenie świątyni, co chwilę umykając przed słońcem wracamy do hotelu. Po drodze zjadamy ponownie kushari, ale tym razem już na ulicy, poza tym jemy z metalowych misek. Siedząc w małej uliczce przyglądamy się jak Arab sprzedający kushari, myje miski po ludziach, co już zjedli. Ma dwa wiadra – w jednym zanurza brudne miski, a w drugim oplukuje. W sumie dwa zanurzenia, no i miska czysta.

W hotelu bierzemy prysznic i siedzimy w recepcji czekając na pociąg. Rafał z Pawłem idą wysłać pocztówki oraz do kafejki internetowej, kiedy wracają opowiadają o osle, który przy porykiwaniu... pierdział. Czas do odjazdu pociągu zabijamy grając w karty.

Przed 17:00 łądujemy na dworcu. Pociąg do Asuanu przyjeżdża punktualnie. O dziwo przy wsiadaniu do wagonu spotykamy właściciela hotelu z Luksoru, który sprawdza do którego wagonu wsiadamy, bo chciał dać zapewne cynk innemu Arabowi, abyśmy w Asuanie spali w hotelu jego znajomego. W Asuanie ma nas ktoś odebrać, ale wcale tego nie chcemy.

Wchodzimy do wagonu, działa klimatyzacja, która późnym wieczorem staje się wręcz nie do zniesienia, tak robi się zimno. Najciekawszą rzeczą w wagonie są... obrotowe fotele!!! W zależności od kierunku jazdy, można sobie przekręcić siedzenie. Niespotykana rzecz.

Ruszamy punktualnie. Przez cały czas jedziemy praktycznie wzdłuż Nilu. Z jednej strony pociągu widać Nil z oazami, a z drugiej rozległą pustynię. Co chwilę mijamy małe wioski, które ledwie się trzymają. Ania nawiązuje znajomość z 22 – letnią Egipcjanką i praktycznie do samego Asuanu z nią rozmawia. Dziewczyna właśnie skończyła farmację. Jest z wyznania koptyjką – bardzo rygorystycznym odłamem chrześcijaństwa. Rozmowa toczy się głównie o stosunkach damsko-męskich. W Egipcie jest nie do pomyślenia, żeby dziewczyna mogła pokazać, iż podoba się jej jakiś chłopak. On sam musi przyjść do jej domu i powiedzieć rodzicom, że chce się z nią ożenić. Reszty pilnują swaci. Hmm, tylko skąd dany chłopak ma wiedzieć, że podoba się dziewczynie, jak ona nic nie może zrobić??? Dziewczyna na o tyle dobrze, że jej ojciec jest dość postępowym człowiekiem i jeśli jakiś mężczyzna nie spodobałby się jego córce, ona może powiedzieć, iż go nie chce. Poza tym dowiadujemy się, że obowiązek nauki w szkole w Egipcie jest tylko do 12 roku życia, potem niestety za naukę trzeba płacić. Jakby tego było mało, to później wszystkie zajęcia odbywają się w języku angielskim. Dlatego też do 12 roku życia, jeśli zamierza się podjąć dalszą naukę trzeba się nauczyć angielskiego. Stąd też w sumie niewiele osób może sobie pozwolić na dalszą kosztowną naukę.

O 20:30 dojeżdżamy do Asuanu, gdzie na peronie od razu dopada nas Arab, który jest doskonale poinformowany, gdzie spaliśmy w Luksorze i chce nas zaprowadzić do wspomnianego już wcześniej hotelu. To ci się Arabowie ugadali. A tu nic z tego, my mamy inne plany. Mamy zamiar na tani hotelik, gdzieś niedaleko dworca, więc splawiamy go i idziemy na poszukiwania. Szybko znajdujemy hotel Marwa w małej uliczce i nawet jest w nim klimatyzacja. Jest nieźle.

Asuan to najdalej na południe wysunięte miasto Egiptu i starożytne miasto graniczne - odznacza się przepięknym położeniem. Miasto położone jest na ziemi Nubijczyków, dlatego

też to oni przeważają na ulicach miasta. Często Asuan nazywany jest bramą do „Czarnej Afryki”, ponieważ w przeszłości stanowił centrum handlowe dla karawan z Czarnej Afryki. W tym to właśnie miejscu zatrzymywał się ruch na Nilu, a ładunki przenoszono wokół skał. Warstwa piaskowców jest tu przerywana wypiętrzeniami leżącego niżej granitu, który wody Nilu pocięły w skały i wyspy pierwszej katarakty. To właśnie stąd, z przebogatych kamieniołomów pochodzi czerwony granit (sjenit), z którego wznoszono świątynie, obeliski i posągi. Asuan, niegdyś miasto chłopów, urlopowiczów i archeologów, niezbyt różniące się charakterem od Luksoru, szybko stało się po wybudowaniu Wielkiej Tamy Asuańskiej ośrodkiem przemysłowym (1972 r.). Mimo to centrum miasta zachowało dawną atmosferę, szczególnie w okolicy bazaru. Otoczenie straciło wiele z dawnego uroku, który sprawiał, że Aga Chan i wielu zamożnych gości przyjeżdżało tu na zimowe wakacje. W Asuanie leżącym w pobliżu Zwrotnika Raka prawie przez cały rok jest gorąco i sucho, średnie temperatury wynoszą od 23-30°C zimą do 38-54°C latem. Warunki te sprawiają, iż miasto posiada statut zimowego kurortu. Błękitne wody Nilu, egzotyczna roślinność, granitowe skały, białe żagle feluk, a wszystko to zalane słońcem sprawia, że przez niektórych Asuan jest uważany za najpiękniejsze miasto w Egipcie.

Idziemy spać, wkrótce obejrzymy to miasto.

22 lipiec 2003

Znowu wstajemy wcześniej 6:30 i jedziemy ponad 40 km na północ do miejscowości Daraw, gdzie ma się mieścić targ sudańskich wielbłądów. Podobno czasami potrafi ich być około 2 tysięcy sztuk. Przyganiane są z południa, z terytorium Sudanu. Jednak najpierw taksówką przemierzamy się na obrzeża miasta, gdzie położony jest postój taksówek oraz busów. Tutaj wsiadamy do jednego z nich i ruszamy wraz z innymi Arabami do Daraw. Tuż, przed samym miasteczkiem zatrzymuje nas punkt kontrolny. Nie bardzo wiemy, co się dzieje. Policja turystyczna dopytuje się skąd jesteśmy. Potem oni gdzieś wydzwanają i dyskutują, że mają tu „sitta bulandi”, czyli sześciu Polaków. Trochę to trwa. Policji na tym punkcie jest sporo, a z budek strażniczych sterczą jakieś kałachy, czy coś w tym stylu. W pewnym momencie każą wysiadać jadącym z nami Arabom, więc już myślimy, że nas zawrócą do Asuanu. Potem krzyczą na kierowcę, lecz ostatecznie nas puszczają. Domyślamy się, że cała ta sytuacja, to wynik tego, że jedziemy bez konwoju...

Dojeżdżamy do Daraw, a tam napotkani Arabowie wskazują nam drogę na targ wielbłądów. Idziemy i idziemy w upale, a targu jak nie ma, tak nie ma. W końcu z naprzeciwka nadjeżdża samochód z policją turystyczną konwojujący dwie taksówki z turystami. Zatrzymują się i każą nam zawracać, bo targu wielbłądów dzisiaj nie ma, ale jest inny targ – domowych zwierząt. Po krótkiej rozmowie wsiadamy do konwojującego samochodu i jedziemy w towarzystwie policjantów oraz ich karabinów. W miarę czasu pytają nas o długopisy, więc daję im dwa. Przyjeżdżamy na targ. Wraz z innymi turystami mamy się trzymać jakiegoś Araba, który robi za przewodnika. Na targu panuje taki ruch i zgiełk, że bardzo szybko gubimy „przewodnika”, co nas wcale nie martwi. Targ jest sporych rozmiarów, wszędzie jakieś zwierzęta. No i na targu nie ma żadnych kobiet, tylko sami mężczyźni ubrani w swoje długie dżelabije oraz z turbanami na głowach. Nie bardzo się nami przejmują, widać, że mają dużo ważniejsze sprawy. Kiedy patrzy się na targ z małego pagóreczka, widzi się kłębiący się tłum ludzi i zwierząt. Niesamowity widok. Wpadamy w amok robienia zdjęć. Stojąc na tym pagórku zostaję potrącona przez zad pchającego się osiołka. A co dokładnie jest na targu? Liczne bydło – krowy, bawoły wodne, osły, kozy i owce. Postanawiamy sami zanurzyć się w ten harmider. Targ podzielony jest na sektory każdy rodzaj zwierząt ma swoje odrębne miejsce. Najpierw trafiamy w obszar krów. Chodzimy po dużej ilości słomy, walającej się po ziemi. Trzeba bardzo uważać przemierzając

się wśród tego zgiełku, żeby czasem nie zostać poturbowanym przez jakąś krowę. Arabowie dokonują targów, ładują zakupione bydło na ciężarówki, lub też siedzą pod zadaszeniami i palą szisze. W zasadzie ludzie nie mają nic przeciwko, żeby robić im zdjęcia. Niektórzy to nawet sami się do nich ustawiają. Spotykamy tutaj sporo Nubijczyków. Są oni dużo wyżsi i ciemniejsi od Arabów.

Z targu krów przechodzimy przez targ bawołów wodnych do miejsca, gdzie sprzedaje się osły. Tutaj jest znacznie bezpieczniej niż w sektorze bydła. Poza tym panuje mniejszy zgiełk. Co niektóre osły są w nadzwyczaj dobrym stanie. Przechadzamy się dalej... mijamy stoiska, gdzie Arabowie mogą zaopatrzyć się w... bieliznę, a dokładnie w wielkie gacie, które noszą pod dżelabijami. Ich widok jest imponujący. Jedna para wisi rozwieszona niczym reklama. Nie mogę się oprzeć chęci zrobienia zdjęcia. Dalej czeka nas targ kóz i owiec. Wszędzie dookoła trwają różne transakcje.

Po obejrzeniu targu jedziemy do Kom Ombo. Jedziemy małą taxi – nawet nie wiem jak nazwać to coś, czym jedziemy, bo do samochodu ma daleko. Dojeżdżamy do świątyni w Kom Ombo, w której więcej jest policji turystycznej niż turystów. Oczywiście na początek musimy przejść przez bramkę, potem Arabowie zaglądną nam do podręcznych plecaków. No i w końcu jesteśmy w świątyni boga Sobka (boga z głową krokodyla), która jest w dużym stopniu zniszczona. Najlepiej wygląda sala hypostylowa i mała komórka na zapleczu, w której eksponowane są 3 małe mumie krokodyli. Całkiem fajnie wyglądają. Szkoda, że nie możemy zobaczyć żywych. Podobno praktycznie ich tutaj już nie ma. Znajdują się na południe od Asuanu, a wyżej nie migrują, bo zatrzymuje je przeszkoda w postaci tama. Wałesamy się po obiekcie, a za nami niczym cienie podążają tajniacy policji turystycznej ubrani w garnitury i noszący ze sobą widoczną broń. Jeden daje się sfotografować za pieniądze. Tutaj spotykamy Duńczyka, który był na targu w Daraw. Prowadzi nas do ściany, na której Egipcjanie wryli przyrzady do mumifikacji. Kolejną ciekawą rzeczą jest starożytny nilometr. Jest to głęboka studnia, która służyła do kontrolowania stanu poziomu wód w Nilu.

Z Kom Ombo wracamy do Asuanu, ale najpierw czeka nas dość mozolne targowanie o cenę busa. Każdy podaje jakieś kosmiczne sumy. Ostatecznie zabiera nas starszy pan, który od osoby bierze 1,5 funta (!!!) za trasę ponad 40 kilometrów. W Polsce nie ma szans żeby taką odległość przejechać za równowartość 1 zł – często chleb kosztuje więcej.

Po powrocie do hotelu wszyscy atakują prysznic, a potem zasypiają. Do miasta wychodzimy dopiero o 19:00 i najpierw wymieniamy trochę dolarów oraz idziemy do informacji turystycznej, aby dowiedzieć się, czy nie będziemy mieć problemów z podróżowaniem do oaz oraz w sprawie bezpieczeństwa jazdy do Asjut. Jak zapewnia nas Arab z informacji NO PROBLEM, co już nie raz słyszałam i jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Spacerujemy sobie wzdłuż Nilu, będąc co chwilę zaczepianymi przez Arabów chcących wynająć na felukę na rejsik po rzece. Na nic zdają się nasze zapewnienia, że już płynęliśmy. Wzdłuż rzeki ciągną się statki – hotelowce, specjalnie dla turystów. Potem postanawiamy pójść na asuański bazar. Z każdego sklepiku sprzedający próbują nas wciągnąć do siebie. Pokazują nam swój towar. Jest tu dużo różnych przypraw oraz skał i minerałów: siarka, kwarc, galena, pumeks. Prawdę mówiąc nie wiem do czego im to służy, ale pełne kosze tych specjalów znajdują się pomiędzy ziołami i przyprawami. Wędrując po bazarze nasza Doktora Bakteria zostaje poklepana po tyłku przez Araba. Ma dziewczyna szczęście... Z kolei Aśka próbuje kupić piwo, ale nigdzie nie chcą jej sprzedać i odsyłają do hotelu.

Postanawiamy udać się na kolację. Wybór pada na szarmę, czyli odmianę greckiego gyrosa lub tureckiego kebabu. W sumie jest to bardzo smaczne mięsko w bułce. Obowiązkowo do tego coca-cola. Wieczorem w hotelu wypijamy małe co nieco i idziemy spać, gdyż czeka nas bardzo wczesna pobudka o 3:30, gdyż jedziemy do Abu Simbel, za Zwrotnik Raka, a poza tym 20 kilometrów od granicy z Sudanem.

23 lipiec 2003

Dzisiaj 23 lipiec to święto Rewolucji w Egipcie. O 3:20 do naszych drzwi puka Arab z recepcji, że mamy wstawać. Wstajemy. Za oknem środek nocy. Schodzimy do recepcji, gdzie tuż przed 4 rano przyjeżdża po nas bus. Jedziemy przez śpiące jeszcze głębokim snem miasto. Na niebie migoczą miliony gwiazd. Bus zatrzymuje się w punkcie zbiorczym pojazdów wiozących turystów do Abu Simbel. Tuż przed nami odjeżdża jeden z konwojów. Musimy poczekać na następny, gdy zbierze się kilka innych busów i autokarów. W międzyczasie pojawiają się funkcjonariusze policji turystycznej, sprawdzają ilu turystów i z jakiego kraju jedzie w busie. Kierowca podpisuje jakieś papiery. Potem przychodzi ekipa ze sprzętem i zagląda nim pod busa, szukając ewentualnej bomby. No nie powiem, zaczyna się ciekawie. W końcu ruszamy w 300 – kilometrową trasę do Abu Simbel. Wyjeżdżamy z miasta, jadąc po pierwszej starszej tamie asuańskiej, którą zbudowali Anglicy na początku wieku. Większość czasu i tak przesypiamy. Gdzieś po drodze mijamy Zwrotnik Raka. Żałuję, że nie mam GPS-a. Muszę sobie sprawić kiedyś takie urządzenie do lokalizacji w terenie. Za oknem prawdziwie pustynny krajobraz, niekiedy mijamy sterczące, wietrzejące pustynne góry. Bus pruje niczym odrzutowiec. Zastanawiam się właściwie po co ten konwój, jak i tak jego całość tak się rozciągnęła, że jakby co, to konwojenci nawet nie wiedzieliby, że np. jakiś autokar na końcu został zaatakowany przez terrorystów. To taka sztuka dla sztuki, mająca na celu zachowanie pozorów bezpieczeństwa. Po trzech godzinach jesteśmy na miejscu. Jest dopiero 7:20. Wsiadamy z busa, no i wtedy odkrywam, że pod moim plecaczkiem jest mokro. Co u licha??? Czyżby coś mi się wylało? Otwieram go, a tam wszystko w porządku. To siedzącym za mną dwóm Azjatom wylała się butelka z napojem sprita.

W Abu Simbel mamy czas tylko do 9, a potem musimy być z powrotem przy busie, bo konwój wraca w stronę Asuanu. Położone w pobliżu granicy egipsko-sudańskiej skalne świątynie Abu Simbel zniknęłyby pod wodami Jeziora Nassera, gdyby nie akcja ratunkowa zorganizowana przez UNESCO. Dwie świątynie zbudowane dla Ramzesa II około roku 1260 p.n.e. wycięto w skale. Fasady większej z nich strzegły cztery potężne posągi samego faraona. Miały one 20 m wysokości i wykuto je w skale czoła góry. Pierwotny plan przewidywał zbudowanie wokół całego zabytku wielkiej szklanej osłony, która chroniłaby go przed wodami zapory, a turyści byłiby opuszczani w dół w specjalnych szklanych klatkach. Ostatecznie jednak świątynie i posągi zostały wykrojone ze skały, pocięte na możliwe do udźwignięcia bloki i potem złożone ponownie w innym miejscu. Większa świątynia była poświęcona całej grupie bogów, w tym Amonowi-Re z Teb i samemu faraonowi. Była ona tak ustawiona, że dwa dni w roku promienie wschodzącego słońca docierały w głąb świątyni i oświetlały posągi bogów wewnątrz góry. Fasada ma 33 m wysokości. Umieszczone przed nią ogromne posągi są realistycznymi portretami faraona, chociaż jednemu z nich brak głowy, którą zniszczyło trzęsienie ziemi. Mniejsze postaci przedstawiają niektóre z dzieci faraona i jego siostrę, a zarazem żonę, Nefertari. Zwiedzamy więc świątynie Ramzesa II i Nefertari w Abu Simbel. Po piramidach są to chyba najslawniejsze egipskie atrakcje. Obok świątyni rozciąga się widok na olbrzymi sztuczny zbiornik Nassera.

Punktualnie o 9 odjeżdżamy z Abu Simbel, z nieba zaczyna się lać żar. Przed nami do pokonania ponownie 300 kilometrów w metalowej puszcze, jaką jest nasz samochód. Klimatyzacja nie działa. Po drodze przyklejamy się do siedzeń, jak i do samych siebie. Dookoła pustynia, nawet udaje nam się zobaczyć fatamorganę jezior w dali.

W pobliżu Asuanu mamy przerwę, gdyż będziemy zwiedzać świątynię na wyspie Philae. Kupujemy bilety wstępu, przechodzimy przez kontrolę i tu czeka na nas niespodzianka. Dość ostre targowanie się o łódkę, która zawiezie nas na wyspę. Dobrze, że oprócz nas jest jeszcze czworo Słoweńców, dwoje Japończyków, dwoje Belgów oraz Kolumbijczyk. Udaje nam się wynegocjować rozsądną cenę. Płyniemy. W samej świątyni

oczywiście ochrona z bronią. Wyspa Philae jest najbardziej znanym egipskim miejscem kultu Izydy, zamkniętym w VI w.n.e. przez bizantyjskiego cesarza Justyniana Wielkiego. Tutaj miały być złożone szczątki Ozyrysa. Wyspa leży między Starą i Nową Tamą. Philae to właściwie wyspa Algiki. Przy budowie tamy wszystkie zabytki z właściwej Philae, która została definitywnie zalana, przeniesiono na Algiki. Wraz z zabytkami zmieniła się też nazwa wysp. Zabytki zachowały się w bardzo dobrym stanie, choć niegdyś corocznie były zalewane przez Nil. Tutaj sporządzono ostatni napis w hieroglificznym języku egipskim, jakieś 1600 lat temu.

Z wyspy Philae jedziemy na Wielką Tamę Asuańską. Jest to druga tama, położona kilka kilometrów w górę biegu rzeki, zbudowana na przełomie lat 50/60-ych. Egipski prezydent Anwar Sadat, dokonał 15 stycznia 1971 roku otwarcia nowej tamy na Nilu. Prace nad nią zaczęto 11 lat wcześniej, w czasach prezydenta Gamala Abdela Namera. Tama ma 111 metrów wysokości i 3,6 km szerokości u szczytu. Przy podstawie jej grubość wynosi 975 m, u góry zaś 40 m. Jest w niej tyle kamieni, gliny, piasku i cementu, że starczyłoby na siedemnaście Wielkich Piramid. Wzdłuż tamy biegnie czteropasmowa szosa. U zachodniego krańca tamy znajduje się łuk triumfalny i pomnik złożony z czterech wysokich, zaostzonych, białych bloków skalnych połączonych w stylizowany kwiat lotosu. Woda po wschodniej stronie tamy napędza turbiny elektrowni. Zapora utworzyła również duży sztuczny zbiornik - Jezioro Namera. Jest to jedno z największych sztucznych jezior świata: jego powierzchnia wynosi 5244 km², a długość 510 km i sięga ono przez Nubię aż do Sudanu.

Wielka Tama Asuańska (po arabsku Sadd el-Ali) po raz pierwszy w historii pozwoliła całkowicie zapanować nad Nilem i po niezliczonych stuleciach klęsk regulować jego coroczne kapryśne wylewy, od których od niepamiętnych czasów zależało życie i dobrobyt Egiptu. Jednym z rezultatów powstania tamy jest znaczne zwiększenie powierzchni ziemi uprawnej w Egipcie. Pojawiły się jednak również problemy związane z poziomem wód gruntowych i pogodą. Tamę zaprojektowano w Niemczech, ale przy jej budowie pomagał Związek Radziecki. Jej ukończenie kosztowało życie aż 451 osób.

Około 6 km w dół rzeki znajduje się stara tama, ukończona w 1902 roku. W swoim czasie była ona największą zaporą świata, a po arabsku nazywa się po prostu el-Sadd („Tama”). Budowa Wysokiej Tamy zniszczyła w Nubii i Sudanie domostwa ludzi, których trzeba było przenieść. Pod wodą zniknęły liczne starożytne zabytki, chociaż kilka najważniejszych udało się ocalić dzięki bezprecedensowej międzynarodowej akcji ratunkowej pod auspicjami UNESCO.

Przy budowie pracowało 30 tysięcy robotników i ponad tysiąc specjalistów. Wydano 1,4 miliarda (ówczesnych!) dolarów. Przesiedlono 120 tysięcy ludzi (około sto wiosek i jedno miasto - Wadi Halfa w Sudanie, bo aż tam sięgnęło Jezioro Namera). 20 obiektów zabytkowych zniszczono. 19 udało się uratować. Kosztem 36 milionów dolarów (ówczesnych!) przeniesiono świątynię w Abu Simbel. Ta wielka budowla, duma socjalistycznego dyktatora Namera, jest zarazem jedną z największych pomyłek w jego dziele uprzemysłowienia południa kraju. Moc elektrowni tamy, która miała pobudzić rozwój tego uboższego regionu, jest wykorzystywana zaledwie w jednej trzeciej. Z turystycznego punktu widzenia imponująca jest różnica poziomów wody z obu stron tamy. Czasem wynosi ponad 40 metrów. Z jednej strony jest olbrzymie jezioro, a z drugiej płynie relatywnie nieduży strumyczek. Obok tamy znajduje się przystań, z której pływają łodzie na wyspę, na której znajduje się świątynia nubijskiego boga Mandulisa.

Hmm... kiedy wsiadamy z powrotem nagle zaczyna działać klimatyzacja w naszym busie... co za kierowca!!! A my całą drogę ledwie dychaliśmy w tej puszczy z gorąca!!!

Po tamie czeka na nas kolejny punkt wycieczki - niedokończony obelisk królowej Hatszepsut, który leży w dawnych asuańskich kamieniołomach. Z tych kamieniołomów ekspediowano kamienne bloki do budowy piramid i świątyni w Karnaku. Hatszepsut

postanowiła postawić w Luksorze największy obelisk w dziejach Egiptu - ważący ponad tysiąc ton. W trakcie wykuwania ów pękł jednak na dwie części i zamysł porzucono. Gigant leży porzucony w rumowisku skalnym. Jednak nie wchodzimy tam, bo wygląda to dość fatalnie, niczym plac budowy, a wszystko ogrodzone płotem. Zaglądamy więc przez szpary, bo w sumie nie ma sensu wydawać na to pieniędzy. Wsiadamy do busa i wracamy do Asuanu pod nasz hotel.

Po popołudniowej drzemce, a należała się nam ona, idziemy nad Nil i zmierzamy pod Old Cataract Hotel, w którym przed laty mieszkała Agatha Christie i pisała swoją książkę pt. „śmierć na Nilu”. Sam hotel wygląda ciekawie, podobno ceny apartamentów sięgają horrendalnych sum. Nawet na teren hotelu nie możemy wejść, bo przy bramie siedzi strażnik.

W drodze powrotnej wchodzimy do ogromnego kościoła koptyjskiego, a na promenadzie przy Nilu kupujemy małe buteleczki piwa i wypijamy je cichaczem na schodach schodzących do rzeki. Jak dla mnie to nic rewelacyjnego.

W hotelu na kolację robimy potrawkę z kuskusa, mielonki, cebuli, pomidorów i ogórków... a potem spać...

24 lipiec 2003

Pobudka 6:45. Chyba nie wyśpimy się podczas tej wyprawy. O 7:15 już wychodzimy z hotelu zabierając ze sobą śniadanie na później. Podążamy w kierunku lokalnego promu i płyniemy na pobliską wyspę Elefantynę, położoną na Nilu. Nazwa Elefantyna pochodzi od łacińskiego słowa *elephantus*, co znaczy „słoń”, a także „kość słoniowa”. W starożytności wyspa była ośrodkiem handlu właśnie tym artykułem importowanym z głębi Afryki, co mogło mieć wpływ na jej nazwę. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak inne wytłumaczenie. Otóż kiedy ogląda się wyspę z Nilu, nie można się oprzeć wrażeniu, że niektóre skały u brzegów Elefantyny przypominają swym wyglądem słonie. W czasach faraonów powstała tutaj forteca, by bronić nubijskie państwo przed najazdami. Pozostałości twierdzy znajdują się na wyspie Elefantyna. Oprócz ruin dwóch świątyń - Satet i Chnuma - znajdziemy tutaj też nilometr. Po sprawdzeniu na skali poziomu wód Nilu i wyliczeniu, jakie danego roku powinny być zbiory, kapłani wyznaczali podatki dla rolników. Teraz na wyspie nadal znajdują się trzy nubijskie wioski.

Spacerujemy oglądając ruiny świątyni oraz przemykamy się bardzo wąskimi uliczkami jednej z wiosek. Wśród tych uliczek panuje normalne ubogie, wiejskie życie. Warunki jakie tutaj istnieją trudno porównać do tych z ładu – Asuanu. Jest tu bardzo biednie i... brudno. Na uliczkach mających czasem jakieś 1 – 2 metrów szerokości - pracują kobiety, przechadzają się owce lub kozy. Nie robimy tutaj żadnych zdjęć, bo podobno nie wolno, a z drugiej strony po co prowokować ewentualne problemy.

Z wioski nubijskiej płyniemy zwykłą łodzią wiosłową na Wyspę Kitchnera, przerobioną na ogród botaniczny, założony przez brytyjskiego konsula lorda Kitchnera. Znajduje się w nim wiele egzotycznych drzew i roślin, choć może więcej jest tu wygłodniałych kotów. Kiedy w małej altance postanawiamy zjeść śniadanie, bardzo szybko pojawiają się koty, mające ochotę na to co jemy my. W pewnej chwili jest ich już jedenaście, a każdy innej maści. Po śniadaniu spacerujemy uliczkami wśród różnych okazów drzew. Jedno z nich zwraca szczególną uwagę, bo zwisają z niego pędy, na końcu których kwitną bordowe kwiaty. Poza tym oglądamy beniaminka, który w przeciwieństwie do okazów trzymany w doniczkach w naszych domach, w tutejszych warunkach jest ogromnym drzewem.

Tą samą drogą wracamy na Wyspę Elefantynę, ponownie przechodzimy przez wioskę nubijską i stajemy na przystani promowej, gdzie przyglądamy się kobietom robiącym pranie w Nilu. Zdjęć niestety nie można robić.

Wracamy do hotelu i rozpoczynamy sję. W międy czasie odwiedzamy kawiarenkę internetową, aby zobaczyć, co dzieje się w naszym kraju i posyłamy wieści do domu. Koło 17 ruszamy do knajpki coś zjeść. Dzisiaj wybieramy arabską lazanię i obowiązkowo butelkę coca-coli. Nieźle, ale więcej chyba się tym nie będę raczyła. Po drodze spotykamy arabskiego albinosa. To dopiero tragedia. Przy takim słońcu, musi mieć ciężkie życie.

Co do kobiet, to w oczy kole ilość złota, jakim są obwieszane. Nawet małe dziewczynki mają złote kolczyki. Natomiast kobiety noszą: kolczyki, wisiorki, kilka dużych pierścieni, bransoletki. Podobno w kulturze arabskiej jest tak, że kiedy mąż odprawia żonę, to ona może zabrać z domu tylko to, co ma na sobie. Tak więc ta złota biżuteria to nie jest głupi pomysł. Przynajmniej są zabezpieczone na jakiś czas.

Po powrocie z obiadu w hotelu siedzimy do 19:00. „Szef” hotelu pozwolił nam na to za 10 funtów. Po czym idziemy na dworzec kolejowy, gdzie stoi już nasz pociąg do Asjutu. Wsiadamy, zajmujemy swoje miejsca, w pogotowiu trzymamy już skarpetki, żeby czasem nie zaziębić się od klimatyzacji. Na dodatek w Asjucie będziemy wczesnym ranem, żeby nie powiedzieć nocą. Zanim pociąg rusza jest jeszcze trochę czasu. Przed pociągiem na peronie zbiera się okazały tłumek ludzi, głównie kobiet. Z naszych obserwacji wynika, że żegnają inną Arabkę, która właśnie wyszła za mąż i mąż zabiera ją do swojego domu. Kiedy pociąg rusza, kobiety wydają z siebie specyficzny dźwięk, który znam ze ślubu, który widziałam w Maroku. Do wagonu wchodzi państwo młodzi, kobieta jest zapłakana. Ciekawe, którą żonę jest tego Araba. Na ulicach Luksoru widzieliśmy jeden ślub, a w zasadzie przejazd młodej pary oraz całego orszaku gości. To musiało być naprawdę wielkie wesele.

Siedzimy sobie w pociągu i jedziemy. Jak na Egipt warunki mają tu nieźle. Jest to druga klasa, a posiada klimatyzację, obrotowe siedzenia, na dodatek rozkładane. Między siedzeniami jest dużo miejsca, więc można się wyspać. Toteż zapadamy w lekki sen, co jakiś czas kontrolując gdzie jesteśmy, bo gdzieś w okolicach 3 w nocy będziemy wysiadać. Konduktor ma nas obudzić...

25 lipiec 2003

3:20 czarna noc. Wysiadamy na stacji w Asjut – mieście, które w przewodniku opisane jest jako bardzo niegościnne turystom. Taka czarna owca Egiptu. Przewodnik nie poleca przebywania w tej miejscowości, gdyż jest to wylęgarnia islamskich ekstremistów w Egipcie. Kiedy kierujemy się ku wyjściu z peronu, zostajemy zatrzymani zapewne przez arabskiego tajniaka. Zasypuje nas pytaniami, skąd jesteście, dokąd zmierzamy, którędy, jak... Odprowadza nas do kawiarenki znajdującej się na peronie, gdzie mamy czekać, aż nastanie ranek i będzie można kupić na dworcu autobusowym bilety na dalszą podróż do oazy Dachli. Podobno autobus odjeżdża o 7 rano. Nadchodzi umundurowany policjant, zamawia nam herbatę i każe tutaj siedzieć i nigdzie się nie ruszać.

Siedzimy, czekamy... nuda. Nawet staramy się czytać książki, ale czwarta rano to nie pora na czytanie. Popijamy herbatę. Czas dłuży się jak nie wiem co. W kawiarni stoi, a właściwie wisi telewizor, który strasznie głośno ryczy, a może to ze względu na tak wczesną porę. Z nudów również zerkamy na monitor, nadawany jest komediowy program, bo nawet siedzący w kawiarni Arabowie od czasu do czasu się śmieją. Inną naszą rozrywką jest wpatrywanie się w podłogę, gdzie czasami zniecka wykasuje całkiem nieźle spasiony karaluch i niczym strzała mknie dalej przez salę.

Dokładnie co pół godziny w kawiarni pojawia się ten umundurowany policjant i sprawdza czy nadal nigdzie się nie ruszyliśmy. Raz nawet wpada w lekką panikę, kiedy brakuje dwóch osób. Tłumaczymy mu, że poszły do toalety.

Rety niech w końcu nadejdzie 6 rano, to pod obstawą policji pójdziemy na dworzec kupić bilety. No i w końcu mija. Przychodzi policjant i zabiera mnie i Pawła. Wychodzimy

przed dworzec kolejowy i w jego pobliżu dołącza do nas kolejny policjant tym razem w cywilu. Obaj prowadzą nas na dworzec autobusowy. Tu szybko okazuje się, że bilety można będzie kupić dopiero za godzinę, bo autobus jest o 8. Oho zaczyna się... wracamy więc do kawiarni razem z dwoma policjantami, którzy teraz mają na nas oko, bo siedzą z nami i zagadują Ewę i Ankę. Jak tak dalej pójdzie, to któraś z dziewczyn zostanie żoną Araba.

O 7 ruszamy ponownie na dworzec, tym razem już wszyscy i z plecakami. Hmm, nadal nie można kupić biletów, a i czas przyjazdu autobusu jest bliżej nieokreślony, czyli powtarza się historia z Hurghady. Słyszymy tylko: „wait ten minutes, bus is coming, no problem mister... Jak „no problem”, to czekamy, ale to czekanie jest denerwujące. Z plecakami siedzimy na niedużym dworcu, gdzie czekają również i inni podróż. Jakiś Arab z mikrofonem chodzi po dworcu i coś ogłasza –nie wiem co, bo chyba na pewno nie jest to rozkład jazdy autobusów. Nasi dwaj policjanci rozsiedli się na krzesłach. Próbujemy dowiedzieć się czegoś, w końcu wypada, że autobus do Dachli będzie o... 11. Nie...no tyle czasu nie będziemy czekać. Mowy nie ma. Postanawiamy wynająć wieloosobową taksówkę. Policjanci gdzieś dzwonią, jeden przez komórkę, a drugi przez krótkofalówkę, z kimś się kontaktują. Z ich telefonicznych rozmów wyłapujemy arabskie „sitta bulandi”, co oznacza, że rozmawiają o nas. To dobry znak. Może stąd wyjedziemy.

Po pewnym czasie przyjeżdża policyjny wóz do konwojowania z uzbrojonymi Arabami. Wsiadamy do dwóch zwykłych taksówek, które wiozą nas na postój busów i dużych taksówek. Wsiadamy, oczywiście robi się małe zbiegowisko, bo oprócz nas, uzbrojonej policji, zbiegają się przewoźnicy (zapewne liczą na dobry interes), jak i inni podróżni. Chwila targowania i mamy taksówkę, ale tylko do oazy Chargi, bo dalej taksówka nie pojedzie, gdyż jest to nieopłacalne. Tłumaczą nam, że gdy dojedziemy do Chargi, tam bez problemów wynajmiemy kolejną taksówkę do oazy Dachla. Pakujemy się. Konwój towarzyszy nam jakieś 10 kilometrów za miasto, po czym wraca, a my podążamy w kierunku oaz środkowego Egiptu. Mamy przed sobą do przebycia 230 kilometrów. Robi się coraz bardziej gorąco. Okna pootwierane, ale to niewiele daje. Kierowca, przez cały czas słucha Koranu płynącego z kasety magnetofonowej, czym nas katuje. Za oknem pustynia kamienista – prawdziwie księżycowy krajobraz. Czasem dla odmiany pojawia się jakaś wietrzejąca góra, bądź też płaskowyże uciętych gór stołowych.

11:30 dojeżdżamy do Chargi. Szybka zamiana taksówek, małe targowanie i mkniemy dalej do Dachli. Teraz zostało nam „tylko” 190 kilometrów i będziemy na miejscu. O tej porze żar z nieba leje się niesamowity. We wnętrzu taksówki niczym w saunie. Nikt właściwie się nie odzywa, bo nie ma na to sił... raczej próbujemy spać w bardzo dziwacznych pozach. Ledwie żyjemy, wpadający oknami do wnętrza pęd powietrza wysusza nam usta. Woda w butelkach gorąca, jakby ją znacznie podgotowano. W międzyczasie ktoś rzuca myśl, co by było, gdyby tak teraz, na środku pustyni zdechła taksówka. Nigdzie nie ma nawet małego skrawka cienia.

Co jakiś czas mijamy punkt kontrolny. Zawsze pytają nas skąd jesteśmy. Mówimy, że Bulanda, ale Arabowie zawsze słyszą Holanda, a raz nawet Tajland. My z Tajlandii??? Nieźle.

O 14 ku naszej niezmiernej radości docieramy do Mut w oazie Dachla i kwaterujemy się w hotelu Arwa. Całkiem niezły. Mamy dwa pokoje, ale tylko w jednym jest klima, więc i tak siedzimy i śpimy w jednym, bo w tym drugim jest to niemożliwe.

Kąpiemy się. Co za ulga. Potem idziemy na obiad, który tutaj zamówiliśmy. Za całkiem nieduże pieniądze dostajemy fantastyczną zupę z jakiegoś zboża, ryż z kurczakiem, ziemniaki w sosie oraz sałatkę z ogórków i pomidorów, no i... coca-cola. Dosłownie było to obżarstwo.

Po obiedzie wszyscy idą spać. Zmęczenie podróży i upałem zrobiło swoje. Wstajemy dopiero o 19:30 i udajemy się na mały spacer po okolicy z przerwą na colę. Anka – pani

stomatolog nie omieszkuje dać nam wykład na temat szkodliwości coca-coli dla zębów. Sama stwierdza, że takiej ilości coca-coli to ona nigdy nie piła i pić zapewne już nie będzie. W takim razie w Egipcie ma jedyną okazję.

Przechodzimy uliczkami oazy, dookoła mnóstwo pyłu, sypiących się domów oraz wozów-dwukółwek ciągniętych przez osły. Ciekawe jest to, że tutejsi mężczyźni nie noszą na głowach turbanów, lecz zamiast tego mają słomkowe kapelusze. Sama miejscowość wygląda na dość senną, praktycznie nic się nie dzieje, mało ludzi.

Po spacerze czeka na nas kąpiel, polska wódka oraz spanie do jutra....

26 lipiec 2003

Budziki dzwonią o 6:15, ale nam nie bardzo chce się wstawać. Nikt nie chce być tą pierwszą osobą, która wstanie. Trwa targowanie, kto pierwszy to uczyni.

Ania na dzień dobry w łazience ma spotkanie ze sporym karaluchem, którego spłukuje wodą pod prysznicem. Kiedy z kolei Aśka idzie do łazienki spotyka go znowu. Skubany nic sobie nie zrobił z tego zalania wodą do rur, tylko stamtąd wylazł ponownie. Aśka była bardziej surowa dla niego. Rozdeptała go na brzegu prysznic... Po nim... Reszta z nas może teraz do woli przyglądać się jemu w łazience.

W recepcji siedzi właściciel. Właśnie nastawia sobie fajkę wodną do palenia. Postanawiamy spróbować i zaciągnąć się tym czymś. Na pierwszy ogień idzie Aśka. Wciągnęła tego tyle, że aż ją zatoczyło. Reszta próbuje tylko delikatnie. No i robimy sobie zdjęcia.

Śniadanie jemy przed hotelem - tutejszy chleb, dżem z fig, serek oraz kulki z falafli. Potem ruszamy zobaczyć cytadelę, stare miasto. Na szczycie wzniesienia znajdujemy otwarte dziury, w których leżą ludzkie kości m.in. czaszki, jakiś kręgosłup. Są też strzępy ubrań, w których ludzie ci zostali pochowani. Makabryczne miejsce.

W oazie kilka tysięcy lat temu, gdy klimat był bardziej wilgotny, znajdowały się naturalne zbiorniki wody: jeziorka i deszczowe rozlewiska. Była ona znacznie większa niż współcześnie i przyciągała pierwszych pasterzy. Na skalnych ścianach w oazie znaleziono tysiące rysunków przedstawiających m.in. sceny myśliwskie i pasterskie oraz obrzędy rytualne. Wiele z najstarszych w oazie rysunków przedstawia młode żyrafy łapane na łąkach. Ale nigdzie w oazie nie ma kości tych zwierząt. Być może stanowiły one ofiary składane bóstwom. Oaza była dobrze zagospodarowana i zasiedlona przez Egipcjan już w początkach Starego Państwa około 3 tys. lat p.n.e.

Idziemy dalej, bo ze wzgórza roztacza się widok na erg położony za osadą. Postanawiamy tam dojść. Idziemy drogą, mijamy kobiety, które na kamiennych „tacach” rozkładają przed domem świeże nie pieczone jeszcze chleby. To chyba tutaj mają się upiec, a raczej wyschnąć w promieniach gorącego słońca.

Dochodzimy do rogatki Mut i tu stop, dalej miejscowe służby nas nie puszczą. Droga zastawiona jest beczkami. Nie mówią po angielsku, więc się z nimi nie dogadamy. Musimy zawrócić. W drodze powrotnej na jednej z lepszych posesji Mut w trawie zauważamy dwa fenki – liski pustynne. Z trawy najpierw wyrzały długie uszy jednego z lisków, a potem pokazały się same fenki i... uciekły.

Idziemy do muzeum etnograficznego. Jest to gliniana chata, w której pokazano sprzęty używane przez tutejszą ludność – dzbany, maty, ubrania, kapelusze, bransolety, motyki, pułapki na gazy. Pewien Arab bardzo ciekawie nam o wszystkim opowiada. Poza tym mówi, że dzisiaj jest jakieś 45 stopni ciepła. Ufff...

Wracamy do hotelu, zamawiamy obiad na 16. Ja będę jadła kurczaka, reszta zamówiła rybę, a pozostałe składniki obiadu te same co wczoraj. Skąd oni tutaj mają ryby? Podobno sprowadzają je z samego Asuanu. W hotelu wałkonimy się do wieczora. Kiedy jest już

„chłodniej” idziemy na „spacerek” do gorących źródeł oraz na zachód słońca. Gorące źródło jest naprawdę ciepłe, tyle tylko, że jest obudowane... Moczymy więc nogi i wracamy na zachód słońca. Wchodzimy na wzgórze, gdzie budowany jest dużo większy hotel będący własnością tego samego właściciela hotelu, w którym nocujemy. Spacerok trwa tylko trzy godziny, ale spotykam jeszcze stację meteorologiczną oraz rosnące przy drodze drzewka bawełny, więc odrobinę zabieram ze sobą.

27 lipiec 2003

Wstajemy o 5:30 i pierwsze co robimy, to szukamy kogoś, kto o takiej porze wyda nam przydziałowe hotelowe śniadanie. Już o 6 przyjeżdża taksówka, która zawiezie nas do oazy Farafra. Bagaże tym razem ładowane są na dach, bo inaczej nie zmieścilibyśmy się. Tym bardziej, że jedzie z nami jeszcze inny pasażer. W czasie mocowania plecaków robi się dla nas śniadanko. Tym razem raczą nas miodem (a fuj!), ponownie dżemem figowym, a także chlebem nadziewanym fasolą. Jest to kolejna arabska potrawa zwana fuul.

Opuuszczamy oazę Dachlę. Teraz czeka nas 290 kilometrów jazdy do oazy Farafra, gdzie ma czekać jeep, którym pojedziemy na Białą Pustynię. Taksówka mknie dość szybko po tych pustynnych drogach. Mijamy cały czas skalisto-kamieniste krajobrazy pustyni. Już przed 11 jesteśmy na miejscu. Zdążyliśmy dojechać przed najgorszym upałem. Dzisiaj nie czujemy się tak jakbyśmy opuszczali saunę, a nie taksówkę. Jesteśmy w hotelu, w którym miała być zorganizowana dalsza część, ale jakoś ciężko jest się dogadać z tymi Arabami. Kiedy pytamy, o której jedziemy, oni mówią, że o której chcemy, ale teraz jest gorąco. Czekamy więc. Odsyłają nas do pobliskiego muzeum, gdzie można obejrzeć ciekawe rzeczy wykonane przez miejscowego artystę Badra, jak się później - już po powrocie do Polski - okaże, słynnego nawet w Europie. Artysta jest naprawdę niczego sobie. Maluje, rzeźbi, robi obrazy z piasku, a także figurki z tego, co ma pod ręką. Naprawdę niezłe miejsce. Ma dość okazały dom, ściany zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz są ozdobione, pomalowane. Wszystkie jego pomieszczenia to jedno wielkie muzeum, a ogród stanowią również jego autorstwa różne rzeźby i figurki. W drodze powrotnej z tego miejsca wstępujemy na coca-colę mimo, że do hotelu mamy z muzeum tylko 200 metrów. Tutaj poznajemy przypadkiem owego artystę – Badra. Siedzi wraz z innymi Arabami przy stoliku.

W hotelu znowu czekamy, poznajemy Włocha, podróżującego samotnie. Ostatecznie ustalamy, że kiedy przyjedzie jeep zabierze nas na zwiedzanie samej oazy Farafra, potem obiad i około 16 pojedziemy na pustynię.

Ku naszej radości jest nareszcie jeep. Śliczny jeep toyota w całkiem niezłym żółtawym kolorze. Wsiadamy wraz z Włochem i jedziemy do ogrodów Farafrы. Najpierw na samochód pakowane jest drewno na ognisko, które zostanie rozpalone wieczorem na pustyni, a potem idziemy ścieżkami wśród drzew, głównie palm daktylowych. Oprócz nich mijamy drzewa bananowe, oliwkowe, limonkowe i figowe. Prosto z drzewa próbujemy lokalnych fig. Są pyszne, bardzo słodkie i klejące. Stąd też taki jest ten figowy dżem. Nasz przewodnik będący pielęgniarzem w miejscowym szpitalu prowadzi nas do gorących źródeł. Tak samo obudowanych jak w oazie Dachla. Te jednak zawierają dużo związków żelaza, osadzających się zarówno na betonowym murze, jak i na naszych nogach, moczonych w źródlanej wodzie. Brunatna warstwa żelaza osadza się również w miejscach, przez które przepływają strumyki wody ze źródła. Na koniec idziemy zobaczyć najstarszą część miejscowości, a właściwie same ruiny, wśród których leży całe mnóstwo zdechłych kur.

Po powrocie do hotelu jemy obiad, którego przygotowanie w pierwotnej wersji Araba miało zająć bardzo dużo czasu. Hmm, jest to wątpliwe, bo jemy nic innego jak zwykły chleb z sałatką zrobioną z cebuli, pomidorów i... tuńczyka. OHYDA!!! Ten „obiad” zajął im kilka godzin! Eh, ci Arabowie.

Po obiedzie dalej czekamy w hotelowym holu. Mija 16, a jeepa nie ma. Niby mieliśmy jechać, kiedy chcemy, ale oni i tak stawiają na swoim i ostatecznie ruszamy koło 17. Gdy wyruszamy to nie prosto na pustynię, ale zaliczamy po drodze dom naszego kierowcy, chwila czekania, potem dom naszego przewodnika (dostajemy lody), a na końcu stację benzynową, gdzie 1 litr paliwa kosztuje tylko 2 funty. No i wyjeżdżamy z oazy. Koniec zajeżdżania do innych domów.

Krajobraz szybko się zmienia i pojawiają się wapienne białe wzgórza oraz erozyjne grzyby. Zjeżdżamy z drogi i jedziemy pomiędzy sterczącymi grzybami. Wsiadamy żeby zrobić kilka fotek, zbieramy kawałki białych skał. Wśród z nich znajdujemy skamieniałe muszelki, a więc przed milionami lat musiało istnieć tutaj morze. W końcu wśród grzybów rozbijamy obozowisko. Dawaj Arabowie rozpalają ognisko, robią herbatę. Poza tym Rafał, Ania oraz „Italiano” pomagają w robieniu kolacji. Ania jako lekarz stomatolog rozprawia o higienie przygotowywania jedzenia i o bakteriach. Nasz beduiński przewodnik bardzo szybko wyłapuje słowo bakteria i powtarza je. Od tego momentu Beduin nazywa Anię – Doktorą Bakterią.

Zapada zmrok, na niebie pojawiają się gwiazdy, a w wielkim garze gotuje się kolacja – ryż z dużą ilością oleju, potrawka z ziemniaków. Natomiast przywiezione chlebki podgrzewają się na położonych obok ogniska kamieniach. Kolacja gotowa, zaczynamy jeść. Całkiem niezła mieszanka ryżu, ziemniaków, cebuli, oliwy. W normalnych domowych warunkach, nikt raczej nie przyrządziłby podobnej potrawy. Poza tym potrawa wraz z chlebem ma smak okopconego jedzenia. Nagle w ciemnościach dostrzegamy krążące wokół obozowiska dwa liski pustynne, tylko oczy im się świecą od światła bijącego z ogniska. Nasz przewodnik rzuca im kawałek chleba. Podbiegają i zabierają go.

Po kolacji leżymy na materacach wokół gasnącego ogniska, ale jakoś nie chce nam się spać, więc rozmawiamy, patrzymy na niebo pełne świecących gwiazd, nie zmacone żadnym miejskim światłem. Ognisko wygasa. Od czasu do czasu przez niebo przelatuje spadająca gwiazda. Italiano już śpi. Kiedy tak rozmawiamy do naszych uszu dobiegają jakieś tajemnicze szelesty od ogniska. Zapalam latarkę i co widzimy? Przy ognisku, a właściwie przy reklamówkach pełnych resztek grasuje fenek i próbuje dostać się do środka siatki, w której jak to Paweł powiedział znajdują się 2 kilogramy ryżu z kolacji. Lisek wcale nas się nie boi, ani tym bardziej światła. Zagląda do szklanek, grzebie, gdzie tylko się da. W końcu odchodzi, a my kładziemy się powtórnie spać. Jednak po pewnym czasie fenek wraca, a może tu już ten drugi. Biedaczysko próbuje dostać się do klatki, w której znajduje się jedzenie na śniadanie. To wpycha łapki przez kratki, to znowu kopie pod klatką dołek. Jego wysiłki na nic się zdają. Szeleści więc znowu w siatkach. Dajemy mu spokój, wyłączam latarkę i tym razem już naprawdę idziemy spać. Niektórzy zastanawiają się czy czasem coś im w nocy do uszu nie wejdzie, więc wolą się zabezpieczyć i pozatykać uszy. Gdy w końcu przestajemy rozmawiać zalega taka cisza, że aż kłuje w uszy... Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie odczuwałam. To jest dopiero cisza...

28 lipiec 2003

Wstajemy przed 7 rano. Poranek na pustyni. Po licznych śladach wokół obozowiska można wnioskować, że liski pustynne nocą nie próżnowały. I przez cały czas kręciły się wokół nas. Robi się powoli ciepło. Beduini rozpalają ognisko. Na śniadanie jemy chleb z topionym serkiem oraz melona. Po śniadaniu mycie zębów, bo Doktora Bakteria nikomu nie odpuści.

Po 8 ruszamy w stronę oazy Bahariyya. Po drodze oglądamy jeszcze kryształowe góry oraz Czarną Pustynię. Bardzo interesujące miejsce. Czarne fragmenty skał pokrywają okoliczne, wietrzejące piaskowcowe wzgórza oraz obszary pomiędzy nimi.

Do oazy Bahariyya, a dokładniej do miejscowości Bawiti dojeżdżamy przed południem. Trafiamy na camp znajdujący się tuż za osadą, gdzie wynajmujemy dwa pokoje, w budynkach z kopułami. Wypijamy herbatę z miętą, ale nie umywa się do tej z Maroka. Kąpiemy się i padamy w pokojach, w których nie ma nawet, jak to Ewa określa „pierdolota” czyli wiatraczka. Panuje gorąc. Zastanawiamy się co dalej począć, bo znajdujemy się w miejscu, w którym mamy dwie opcje dalszej drogi. Jedną, którą chcielibyśmy pojechać, ale może nie być nas stać, a także drugą – konieczną, gdy pierwsza nie wypali. Próbujemy dowiedzieć się jak wyjechać stąd do oazy Siwa jeepem przez pustynię, jakieś 450 kilometrów. Cena jest wysoka 170 funtów od osoby, to dużo więcej niż się spodziewaliśmy. Razem z nami wyjazd kombinuje nasz Italiano. Paweł z Rafałem postanawiają później pójść do centrum osady i dowiedzieć się, czy może nie jedzie stąd jakiś inny jeep do Siwy. Wieczorem zdecydujemy, co dalej.

Na 18 zamawiamy obiad, po czym kiedy przychodzimy jego nie ma i musimy czekać godzinę na to, aż się pojawi. W końcu niosą jedzenie: ryż, coś w stylu naszego lecho oraz tradycyjnie sałatkę z ogórków i pomidorów. I na to musieliśmy tyle czasu czekać...

Siedzimy w naszych pokojach. Wewnątrz robi się coraz bardziej gorąco. W końcu Paweł z Rafałem wstają, aby ruszyć na podbój osady, ale okazuje się, że Arab od jeepa spuścił cenę do 150 funtów, pomimo, że Italiano wycofał się z jazdy z nami. Tak w ogóle to ten Włoch podróżuje już od dwóch miesięcy nie tylko po Egipcie, ale i po Syrii, Jordanii. Z zawodu jest... kelnerem w jednej z restauracji we Włoszech Z kolei my, po sprawdzeniu finansów decydujemy się na ten przejazd. Płacimy Arabowi oraz dajemy nasze paszporty, bo na przejazd potrzebna jest zgoda policji. Mamy ruszyć jutro rano koło 5. Italiano również jedzie do Siwy, ale okrężną drogą, przez Kair i Aleksandrię. Żegnamy się z nim, bo idzie do centrum na autobus do Kairu. Ciekawe czy rejsowy autobus przyjedzie..., a my idziemy spać. Nie jest łatwo, bo wewnątrz gorąco. Leżąc w łóżku najlepiej w ogóle się nie ruszać, nie kłaść nogi na nogę, bo się człowiek przykleja do siebie i czuje, jak pot leci po ciele. Ewa, Rafał i Aśka od razu postanowili wyciągnąć materace i spać pod gołym niebem niż spędzać noc w saunie. Ja przenoszę się tam w nocy, gdy obudziwszy się jest mi tak gorąco, że nie mogę wytrzymać. Zabieram koc i śpiwór, rozkładam się tuż przed wejściem, a właściwie w drzwiach. Wygląda to tak jakbym resztkami sił doczołgała się do drzwi i padła. Dalej jednak nie mogę się położyć, bo śpią tam Ewa i Rafał. Oby mnie tylko nie zjadły nocą biegające tutaj liczne karaluszki. Przynajmniej jest chłodniej. Paweł zostaje w środku...

29 lipiec 2003

Pobudka o 4:30. Koło 5 przyjeżdża nasz jeep. Ładujemy bagaże na dach, po czym kierowca dokładnie je wiąże. Zabieramy śniadanie na drogę do worka: chleb, ser, jajka, słoik dżemu figowego. Dokładnie o 5:28 ruszamy na pustynię. W drogę, na którą nie decyduje się każdy kierowca czy też podróżny. Przed nami 450 kilometrów drogi, a raczej licznych bezdroży. Przejedziemy przez sześć punktów kontrolnych.

Jedziemy, droga rzeczywiście paskudna. Momentami, to wcale jej nie ma, bo albo została zasypana przez pustynię, albo coś dziwnego stało się z asfaltem, że kiedy się po nim jedzie, to makabrycznie trzęsie. Lepiej już jechać po samej pustyni. Nasz kierowca bardzo często jedzie na skrót po piasku. Dookoła nas nic oprócz pustynnego, żółtego piasku i naszego jeepa oraz śladów, które zostawia auto. Jest super. Piasek, a raczej pył szczelinami wdziera się do samochodu i nas oblepia. Co jakiś czas jeep wdrapuje się na pustynną wydmy. Kierowca od czasu do czasu zatrzymuje jeepa, wysiada i sprawdza nagrzanie kół. Na jednym z takich przystanków przyglądamy się bliżej samochodowi, który nas wiezie. Zauważamy bardzo ciekawą rzecz... Drzwi od strony pasażera obok kierowcy mają ślady po... strzelaninie. Nie dam głowy za to, ale tak to wygląda. Kierowca niestety nie wyjaśnia nam tego.

Mijamy kolejne punkty kontrolne. Wydają się być abstrakcją w tym kamienistym krajobrazie. Po co one tutaj są. W ciągu dnia trasę tę pokonuje zaledwie kilka samochodów. Drogę tarasują oczywiście beczki. Po sprawdzeniu, kto jedzie samochodem, przestawiają owe beczki i można jechać dalej.

Środek pustyni. Zatrzymujemy się w miejscu wypływu gorącego źródła. Kierowca odkręca zawory urządzenia wodnego i ciepła woda tryska na wiele metrów. Mijany krajobraz jest różny, bo albo piaszczyste wydmy, albo skalista pokrywa, bądź też wietrzejące pagóry. To wszystko to Pustynia Zachodnia. Pustynia Zachodnia ciągnie się wzdłuż granicy z Libią, stanowi teren wyżynny o zróżnicowanych formach krajobrazu pustynnego. Spotkać tam można zarówno pustynie piaszczyste, jak i żwirowe czy skaliste. W miejscach powierzchniowych wysięków wód wglębnych tworzą się oazy.

Tuż przed samą oazą Siwa zatrzymujemy się przy zimnym źródle... Część z nas zażywa tutaj nawet kąpiele. Obok źródła znajduje się zakład rozlewający wodę mineralną Hayat. Teraz już wiem dlaczego ona taka niedobra, jeśli pozwalają się tutaj ludziom kąpać. Dziewczyny niestety muszą pływać w ubraniach, czyli tak jak tu przyszły.

Dojeżdżamy do Siwy. Tuż przed samą miejscowością roztacza się dość niezwykły widok na zbiorniki wodne, które ze względu na to, że oaza położona jest 60 metrów pod poziomem morza, zawierają bardzo dużo soli. Z kolei ze względu na gorący klimat sól ta wytraca się na powierzchni jezior. Wygląda to niesamowicie, bo na całych jeziorach tworzy pokrywę niczym lód, przyprószoną na biało śniegiem. Nic tylko wziąć łyżwy i pojeździć. Przepiękny widok.

Trudno sobie wymarzyć piękniejsze miejsce na kilka dni odpoczynku: Siwa, cudowna tysiącletnia osada.

Siwa, rajaska oaza w zachodnim Egipcie na Pustyni Libijskiej, położona jest 600 km od Kairu, na południowy-zachód od portowego miasta Marsa al-Matruh i tylko około 25 km od granicy libijskiej. Poza tym oaza leży w depresji średnio ok. 11-22 m p.p.m.

Już w starożytności oazę Siwę na jedną ze swych siedzib wybrał Amon - najpotężniejszy z bogów Egiptu. Wznosiła się tam wielka świątynia wypełniona nieprzebranymi skarbami, otoczona szczególną czcią mieszkańców całego kraju. Skarby świątyni skusiły Kambyzesa, króla Persów, który w 525 r.p.n.e. po zajęciu delty Nilu, wysłał 50-tysięczny korpus w celu złupienia świątyni. Jednak Amon czuwał nad swoim sanktuarium. Na maszerującą perską armię spadła niespodziewanie burza piaskowa, grzebiąc ją całkowicie. Gdy 300 lat później do Egiptu wkroczył Aleksander Macedoński, również on postanowił dotrzeć do świątyni Amona w oazie Siwa. Wyruszył tam jednak jako pielgrzym, a nie jak zdobywca. Przywiózł dary, które złożył w świątyni. I Egipcjanie dostrzegli w Aleksandrze Boga. W czasach rzymskich było to miejsce zesłania. W trakcie wykopalisk odsłonięto ruiny świątyni, cmentarza z Epoki Późnej (730-330 p.n.e.) i skalne groby.

Znajduje się tutaj 1600 źródeł wody, wzgórze o barwie złota, palmy i całe pole drzew oliwnych. Miejsce słynie z uprawy oliwek, palmy daktylowej, eksploatacji soli ze słonych jezior. Oaza ta nie stanowi zagubionej wysepki na pustyni, łączą ją z wielkimi miastami ważne szlaki, które prawdopodobnie służyły już w zamierzchłych czasach.

Zmęczeni i okurzeni dojeżdżamy do osady do hotelu Yousef, położonego w samym centrum. Koniec ośmiogodzinnej jazdy przez pustynię. Hotel tani, ale bez klimy, na szczęście jest wiatrak, ale i tak prawie nic nie daje. Widok z okna jest fantastyczny. Widać z niego cały centralny plac ze sklepikami. Tuż pod hotelem znajduje się coś w rodzaju postoju... osiołkowych taksówek, które co parę minut ryczą tak, jakby miały za chwilę zdechnąć. Poza tym z okna widać ruiny starej części miasta – Szali, oraz pobliski meczet.

Po obowiązkowym zmyciu z siebie ton pustynnego pyłu idziemy na obiad. Restauracyjka jest tuż obok. Knajpek jest kilka i to dosłownie parę kroków od naszego hotelu. Widać, że to inny, a zarazem odmienny region Egiptu, bo w menu można znaleźć coś takiego,

co nazywa się szaszuka – potrawa z ryżem, mięsem, jajkiem i pomidorami, podana w glinianej doniczce. Muszę przyznać, że naprawdę bardzo mi ta potrawa smakuje. Do obiadu wypijamy po dwie coca-cole. Tylko Paweł z nami nie je, lecz siedzi w hotelu, bo coś go niestety gnębi w żołądku...

Po obiedzie zalegamy w pokojach, jak się trochę ochłodzi, pójdziemy na rekonesans osady. Nasz spacer polega na obejściu głównego rynku w Siwie i zaglądaniu do okolicznych sklepików z tutejszymi wyrobami m.in. sukien, srebra, ale wszystko jest dość toporne i kiczowate. Nie mam pojęcia, kto chciałby to kupić.

Nasz hotel położony jest bardzo dogodnie i z dachu rozpościera się fantastyczny widok na osadę, dwa jeziora, morze piasku za osadą, gaj palm daktylowych oraz wietrzące pagóry. Z dachu lub też z okna pokoju można dowoli obserwować miejscową ludność, która małymi wozami, ciągniętymi przez osły przemieszcza się po placu. Dzieci zajmują się powożeniem taksówek z osiołkami. Kobiety natomiast są szczelnie okutane wieloma warstwami ubrań takich samych ubrań. Nie da się odróżnić jedną od drugiej. Niczego nie widać, nawet oczu. Kobiety pojawiają się głównie po południu i to w towarzystwie mężczyzny – męża. Z kolei mężczyźni w przeciwieństwie do Arabów z innych regionów posiadają długie brody, oczywiście nie wszyscy i zamiast turbanów noszą na głowach małe szydełkowane czapeczki.

Wieczór spędzamy na dachu hotelu jedząc smaczne arbuzy i melona oraz podziwiając meczet w promieniach zachodzącego słońca. Tuż po jego zachodzie, odzywa się z meczetu głos muezina, nawołujący wiernych na wieczorną modlitwę.

Noc nie należy do przyjemnych... w pokoju jest za gorąco. Znowu muszę leżeć nie ruszając się, aby tylko noga nie przyklejała się do drugiej nogi...

30 lipiec 2003

Wstajemy. Jest 6:45 i zaraz po siódmej ruszamy w stronę wydm, bo jak podaje przewodnik można do nich dojść na piechotę w ciągu godziny. Klucząc uliczkami Siwy, w końcu docieramy na właściwą drogę, albo przynajmniej tak nam się wydaje. Idziemy i idziemy, a wydmy wydają się wcale nie przybliżać. Dawno mija godzina maszerowania, a tu nic z tego. Wydmy nadal są daleko. Nie wiem jak ktoś wyliczył sobie czas przejścia na godzinę. Poza tym jesteśmy bez śniadania no i zaczyna się znowu robić gorąco. Niestety, ale postanawiamy zrezygnować z pomysłu dotarcia do morza piasku. Głód i panujący gorąc są silniejsze. Tylko ja z Pawłem próbujemy jeszcze przejść z głównej drogi w bok, reszta wraca do Siwy. Hmm, nawet udaje nam się dojść, ale w sumie jest to nic specjalnego. Postanawiamy również wracać do Siwy na śniadanie.

Dzisiaj wybieramy inną restauracyjkę - „Aleksander”. Śniadanie jest wyborne. Serwują nam pyszny omlet oraz jogurt z różnymi owocami. Po śniadaniu ruszamy w stronę muzeum „dom Siwa”, dokąd prowadzi nas trzech chłopców ze swymi osiołkowymi taksówkami. Ciekawie to wygląda, bo my nie korzystamy z ich usługi przejechania się tymi małymi wózkami, lecz drepczemy obok. Na miejscu okazuje się, że muzeum jest zamknięte, bo Arab, który odpowiada za nie jest dziś na... wakacjach. Postanawiamy zobaczyć tłoczarnie oliwy, o których pisze przewodnik, więc Rafał próbuje wytłumaczyć chłopcom, co chcemy zobaczyć i jak tam trafić. Tłumaczenie jest oczywiście na migi... Robi „pryk” – czyli zgniatanie oliwki, a potem pokazuje coś w stylu strumienia oleju. Jeden z chłopców podłapuje i prowadzi nas tyle, że nie do wytwórni oliwy, a... do toalety!!! Wszyscy się śmieją, bo rzeczywiście, to co pokazywał Rafał mogło się skojarzyć w ten sposób. Ewa bierze sprawę w swoje ręce, no i tym razem chłopcy chyba wiedzą o co nam chodzi. Jeden z nich – wyglądający na szefa – mówi, że wytwórnia jest koło jego domu. Tak więc drepczemy za nimi. Okazuje się, że jest nieczynna, bo pracuje tylko w okresie grudnia - stycznia w sezonie

oliwnym. Znowu nam się nie udało. To już trzecie miejsce dzisiejszego dnia, do którego ku naszej rozpaczy nie możemy dojść.

Chłopiec zabiera nas do swojego domu, gdzie mamy pooglądać tutejsze wyroby. Wchodzimy do murowanego domku z jednym aczkolwiek sporym pokojem, gdzie oprócz mat jest mały stół oraz telefon. Jakaś Arabka, prawdopodobnie matka chłopca przynosi wyroby. Hmm, to samo, co widzieliśmy wczoraj, czyli nic wartego kupienia. Są nawet szmaciane laleczki, które wyglądają jak voo doo. Siedzimy sobie na matach. W końcu Arabka widząc, że jednak nic nie kupimy, postanawia zrobić nam tatuaże z henny. Zgadząmy się. Trwa to dwie godziny. Ja jestem ostatnia w kolejce więc razem z Pawłem i Rafałem ucinamy sobie na matach drzemkę. W tym czasie Ewie zrobiono szlaczek na rękę, Aśce na ramieniu – niczym więzienny tatuaż, a Doktorze na nodze. Postanawiam też mieć tatuaż na nodze. W między czasie już obudzona przyglądam się hennie. Hmm, pamiętam taką z Maroka – wzorek nie będzie zbyt piękny, w kolorze jasnego brązu. Tatuaż robią z taniej henny. Po wykonaniu tatuaży płacimy i w upale wracamy do hotelu.

Dzisiaj na obiad robimy znaną już potrawkę z kuskusa, konserwy oraz pomidorów, ogórków i cebuli. Obiad ten jemy na dachu. Naprawdę fajny jest ten dach. Aha w okolicach naszego hotelu będąc na kolejnej butelce coca – coli, spotykamy naszego Italiano, który jednak przez Kair i Aleksandrię zajechał do Siwy. Oczywiście z Bahariyyi wyjechał taksówka, bo miejscowi zaczęli go straszyć, że nie będzie miejsc, albo autobus wcale się nie zatrzyma.

W Siwie jest jeszcze coś ciekawego. Tutaj nie trzeba się targować, bo ceny są tu stałe i takie same zarówno dla tutejszego mieszkańca, jak i turysty – zresztą chyba najniższe w całym Egipcie. Jakaż to odmiana, po miejscach, gdzie Arabowie na każdym kroku próbowali wyciągnąć od turysty ile wlezie oraz wcisnąć mu najbardziej lipny towar. W Siwie, z kolei to sprzedający potrafi wymienić towar, jeśli nie jest on najlepszej jakości. Nie wciśnie turyście np. gorszego owocu, gdy ma po stokroć lepsze na swym stoisku.

Wieczorem realizujemy nasz dalszy plan, czyli idziemy do gaju palmowego, który tak pięknie prezentuje się z dachu hotelu. Jednak, kiedy docieramy do drzew, okazuje się, że nici z podziwiania palm daktylowych, bo wewnątrz gaju są „posesje” tutejszej ludności. Trzymają tu kury i kaczki czym cały gaj zamieniają w wielkie śmietnisko. Hmm, a tak pięknie prezentuje się z góry... Nie pozostaje nam nic innego jak dać sobie z tym spokój. Jeśli chodzi o zwiedzanie mamy dzisiaj jakiegoś fatalnego pecha. Nic nam nie wychodzi.

Przed nami ostatnia szansa dzisiejszego dnia - Wzgórze Umarłych. Idziemy. Wspinamy się na jego wierzchołek, z którego podziwiamy widok na okolicę. Samo wzgórze wygląda – jak to określiła Doktora – niczym ser szwajcarski. Widoczne we wzgórzu dziury to nic innego jak stare groty - grobowce. Kiedy schodzimy ze wzniesienia, pilnujący wzgórza strażnik pyta nas czy nie chcemy zobaczyć mumii. No jakże moglibyśmy nie chcieć. Idziemy więc za nim. Najpierw prowadzi nas do dwóch grot, w których nie ma żadnego śladu mumii. Mamy już wrażenie, że nic z tego, kolejna podpucha Arabów. Prowadzi nas do trzeciego grobowca, a tu ku naszej radości... są mumie!!! Dwie mumie leżą owinięte w bandażę, a trzecia bez. Gdy się im przyglądamy widać rysy twarzy oraz kawałki skóry! Czwarta mumia jest mała – to mumia dziecka. Nie ma nóg! Poza tym w metalowym ni to pudełku, ni to wiadrze leży głowa z kępkami włosów!!! Nic w tym grobowcu nie jest zabezpieczone, te mumie ot tak, po prostu sobie tutaj leżą. Niesamowite. Jesteśmy pod wielkim wrażeniem tego, co zobaczyliśmy.

Wracamy już w fantastycznych nastrojach koniec tego feralnego dnia był super. Cały pechowy dzień zwiedzania został nam wynagrodzony w postaci mumii. Musieliśmy tylko zapłacić strażnikowi bakszysz, zaledwie sześć funtów za całą naszą grupkę.

Po powrocie do hotelu zalegamy na dachu i pod zadaszeniem z suchych liści palmowych jemy kolejnego arbuza i melona... Mija 20:00, o tej godzinie rozpoczyna się w

Siwie nawoływanie muezinów ze wszystkich meczetów w osadzie. Jeden kończy, a inny z kolei zaczyna.

31 lipiec 2003

Hotel opuszczamy o 7 i w końcu ruszamy obejrzeć ruiny Szali – dzielnicy jeszcze w części zamieszkałej, pomimo tego, że w większej części jest to rumowisko. Idziemy uliczkami jeszcze sennego Szali. Ludzi jeszcze nie widać, tylko biegające osły. Jeden, którego spotykamy jest niesamowity, bo biegnie uliczką, po czym wpada do zagrody swojego gospodarza otwierając drzwi jednym kopnięciem. I nic w tym nie byłoby dziwnego, gdyby nie to, że kiedy wpada do obejścia również jednym kopnięciem tylnych nóg... zamyka za sobą drzwi. Niesamowity osioł. Osłów w Szali spotykamy również sporo, bo jeszcze nie pracują, ale siedzą w swoich obórkach, z których najczęściej wystają im głowy.

Szali powstało w 1203 roku, założone przez 700 rodzin. Szali oznacza „miasto”. Budynki w Szali zbudowane są z tutejszej gliny przemieszanej z solą, która po wyschnięciu twardnieje niczym cement. W centrum Szali znajduje się również gliniano - solny minaret, z którego do tej pory nadawany jest przez megafon głos muezina. Miasto było otoczone murami, za którymi nie osiedlano się ze względu na najeźdźców. Stąd też miasto rozbudowywało się w górę. Aby było miejsce do przejścia, trochę światła oraz brak duchoty uliczki miały mieć szerokość jednego osła. Kawalerowie w wieku 20-30 lat spali poza miastem strzegąc go. Tutejsi mieszkańcy lubili palmowy trunek, śpiew, taniec i co ciekawe byli jawnymi homoseksualistami (no, nie wszyscy). Małżeństwa homoseksualne były tu zawierane do 1928 roku!!! W 1923 roku nad region nadciągnęła ulewa i... rozpuściła większość domostw. Znaczna część mieszkańców przeniosła się w inne miejsca, ale najbiedniejsi zostali w ruinach i nadal tutaj mieszkają. Nad Szali góruje wzniesienie podobne do Wzgórza Umarłych. Wdrapujemy się na nie. Teraz mamy widok na całe Szali.

Wracamy na śniadanie do restauracyjki „Aleksander”. Dzisiaj zamawiam sobie ponownie omlet oraz na deser - naleśnik z bananem i miodem. Na śniadanie trzeba trochę poczekać. Tutaj w Siwie jest jedna zaskakująca rzecz. Kiedy zamawia się jakąś potrawę w restauracji, to kucharz nie ma praktycznie żadnych składników do jej przygotowania. Wysłała wtedy swojego pomocnika, aby ten dokonał zakupów poszczególnych rzeczy. Siedząc i czekając na śniadanie widzimy owego pomocnika biegnącego z całą paletą jajek na naszą jajecznice, potem wychodzi znowu... tym razem przynosi warzywa. W końcu idzie ponownie i kiedy wraca widzimy, że niesie banany do naleśników. No przynajmniej każdy składnik jest świeżo kupiony. Śniadanie jest przepyszne. Nigdzie w Egipcie nie jedliśmy takich dobrych śniadań jak tutaj w Siwie. Ewa uskarża się dzisiaj, że piecze ją skóra w miejscu tatuażu z henny. Miejsca pokryte henną zamieniły się jej w małe ranki i strupki.

Po śniadaniu postanawiamy udać się ponownie do muzeum, które wczoraj było zamknięte, a dzisiaj powinno być już otwarte. Niestety, nadal jest zamknięte i w sumie nie wiadomo kiedy zostanie otwarte. Postanawiamy więc osiołkowymi taksówkami pojechać do świątyni Aleksandra – położonej również na wzniesieniu, z którego roztacza się widok na słone jezioro z pokrywą soli, niczym lód. Idziemy na postój owych osiołkowych taksówek i spotykamy „szefa” chłopców, który nas wczoraj zaprowadził do swojego domu. Negocjujemy cenę dwóch taksówek. Wsiadamy po trzy osoby i jedziemy. Nasza taksówka tj. moja, Pawła i Aśki jest felerna, bo reszta żwawo pojechała, a nasz osiołek buntuje się i wcale nie chce jechać. Chłopiec co chwilę okłada kijkiem biednego osła. Mam ochotę zejść i iść pieszo. W końcu jakoś jedziemy. Chłopcy w specjalny sposób cmokają, co ma zachęcić osiołki do ciągnięcia wózków. Znowu mijamy gaj palm daktylowym, czyli tutejszy śmietnik i kurnik w jednym. Po jakimś kwadransie jazdy docieramy na miejsce. Oglądamy świątynię Aleksandra – głównie ruiny, bo tyle z niej zostało. Potem znowu wsiadamy do taksówek i wracamy tą

samą drogą. W pewnej chwili chłopiec gubi swój kijek, zatrzymuje osła i wraca po to, co mu upadło. W tym czasie ja na głos zastanawiam się czy osioł może ruszać jak koń na słowo „wio”, kiedy je wymawiam... osioł zbiegiem okoliczności rusza. Na dodatek rusza tak niefortunnie, że o mało co, a nie zaliczamy niezłej wywrotki na pobocze drogi.

Po powrocie znowu zaszywamy się w hotelu, aby przeczekać najgorszy upał. Na obiad zamawiam sobie ponownie szaszukę, ale ta jest o niebo lepsza od tej, którą jadłam w innej restauracji. Wewnątrz doniczki jest dużo mniej ryżu, a praktycznie samo mięso. Każdy ma, co innego na talerzu, ale oczywiście znowu możemy przyglądać się jak pomocnik kucharza znosi wszystkie produkty na nasz obiad.

Wieczorem w oczekiwaniu na autobus siedzimy na dachu czekamy na Araba z restauracji „Aleksander”, który ma nam dostarczyć autobusowe bilety. Czas ten umilamy sobie jedząc melona i pijąc polską wódkę. Tylko cicho sza, bo w Siwie jest zakaz wwozu jakiegokolwiek alkoholu. Osada w ogóle rządzi się swymi własnymi prawami. Jest tutaj specjalna rada, rozwiązująca w swoim gronie problemy osady, nie mieszając do tego innych urzędników państwowych.

Dzisiaj o 22 wyjeżdżamy z Siwy do Aleksandrii. Po raz pierwszy mamy skorzystać z rejsowego autobusu. Wszyscy mają obawy, bo jeszcze ani razu taki autobus nie przyjechał. Jest duża szansa, bo rejs rozpoczyna właśnie w Siwie, więc powinien tu być, a poza tym jeśli stąd zaczyna, to i miejsca powinny również się dla nas znaleźć. Jak się dowiedzieliśmy z autobusami w Egipcie jest tak, że jeśli jedzie on z jakiejś miejscowości cały zapełniony, to już w następnej nie zatrzymuje się na dworcu, bo i tak nie wzięłby nikogo.

Po 21 idziemy na dworzec autobusowy. Nasz autobus już jest, więc na początek to wielki sukces. Na stacji jest też sporo Arabów, wszyscy czekają. Ja z Doktorą wzbudzamy szczególne zainteresowanie wśród małych chłopców, którzy nie mogą się napatrzeć na nasze aparaty na zębach. Co chwilę, któryś podchodzi, przygląda się, a potem rozmawia z innymi kolegami i śmieje się.

Wsiadamy do autobusu, pakujemy nasze plecaki. W autobusie oprócz nas jest jeszcze kilkoro innych turystów. Sam autobus na pierwszy rzut oka nie wygląda źle. Jest klimatyzacja, dość dobre siedzenia, choć nie wszystkie się rozkładają, jest również telewizor, więc zapewne będą puszczone filmy.

Tylko z dziesięciominutowym opóźnieniem wyjeżdżamy z Siwy. A szkoda. To było chyba najbardziej przyjazne turyście miejsce w Egipcie. Praktycznie od razu zasypiam w autobusie. Budzę się dopiero gdzieś koło 3 w nocy i pierwsze, co słyszę to Aşkę, która zdaje relację, jak to fajnie się jedzie. Podobno mieliśmy już 40 minutowy postój, bo kierowca poszedł do knajpy na kolację, a potem kolejny przystanek, bo jakiś inny autobus miał problemy techniczne. Słucham Aşkę, jak w amoku, zerkam na telewizor, leci jakiś film – nawet widzę, że to Indiana Jones. Myślę sobie, że niezłe filmy tutaj oglądają. Zasypiam znowu. Ponownie budzę się nad ranem, bo czuję smród palonych kabli. Otwieram oczy i widzę kłęby dymu w tyle autokaru. Arabowie wysiadają. Budzę Pawła i oznajmiam mu, że chyba się palimy, po czym... zasypiam ponownie (!!!) nic sobie z tego nie robiąc. Widać, że wszystko jest w porządku, bo gdy budzę się kolejny raz, ja żyję i dalej jedziemy. Aśka praktycznie wcale nie spała w nocy i mówi, że obejrzała dwa filmy. Ja na to, że jeden to był całkiem niezły – Indiana Jones. Wszyscy patrzą na mnie i mówią, że żadnego Indiany Jonesa nie było. Upieram się przy swoim, że widziałam bohaterów filmu, że to był odcinek w którym szukają arki. Aśka zapewnia mnie, że naprawdę nie było żadnego Indiany, tylko całkiem inne dwa filmy. Hmm... dałabym głowę za to, iż Indiana Jones jednak był...

1 sierpień 2003

Do Aleksandrii dojeżdżamy z ponad dwugodzinnym opóźnieniem. Po nocnej jeździe, znam kilka powodów dlaczego nie można doczekać się na rejsowe autobusy. Na dworcu panuje straszny rozgardiasz. Próbujemy dowiedzieć się jak dojechać na nabrzeże morskie, aby tam znaleźć interesujący nas hotel. Ostatecznie wsiadamy do tramwaju, o bardzo szerokich wagonach. Po raz pierwszy w Egipcie spotykam się tym, że podróżujące samotnie Arabki, wsiadają do osobnego wagonu - tylko dla kobiet. Jesteśmy w Aleksandrii...

Aleksandria nazywana przez Arabów Al-Iskandarijja to miasto w północnym Egipcie, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, na mierzei między morzem, a jeziorem Marjut. Drugie po Kairze miasto kraju pod względem znaczenia i liczby mieszkańców.

Miasto zostało założone w 332 p.n.e. przez Aleksandra Wielkiego na miejscu wsi Rakotis, wg projektu Dejnokratesa, opierającego się na planie Hipodamosa z Miletu. Od 311 p.n.e. stolica państwa Ptolemeuszów. Jedno z największych centrów życia umysłowego i kulturalnego starożytności. Aleksandria jest podobno bardziej nowoczesna niż Kair, jednak wiele greckich i rzymskich budowli przypomina o czasach, gdy znajdowało się tu centrum kulturalne Egiptu. Z epoki Aleksandra Wielkiego do dnia dzisiejszego przetrwały szczątki murów arabskich, opasujących miasto i teatr, będący jedynym amfiteatrem wybudowanym przez Rzymian w Egipcie.

Od 30 r. p.n.e., po włączeniu Egiptu do Rzymu była stolicą prowincji (drugie miasto państwa, mające za Oktawiana Augusta około 1 mln mieszkańców). W III i IV w. Aleksandria przeżywała trudności gospodarcze. Ogarnęły ją również zamieszki narodościowe i religijne. Od IV w. stała się siedzibą patriarchów chrześcijańskich i ośrodkiem nauk teologicznych. Za czasów Bizancjum Aleksandria pozostała ważnym ośrodkiem administracyjnym i handlowym, aż do czasu zdobycia jej w 641 roku przez Arabów. Od roku 1517 pod rządami Turków straciła znaczenie (w czasie pobytu Napoleona Bonapartego w 1798r. Aleksandria liczyła około 5 tys. mieszkańców). Dopiero po zbudowaniu Kanału Sueskiego (1869) zaczęła się na nowo rozwijać. Wybuch powstania w roku 1881 przeciwko rządowi francusko-brytyjskim i zbombardowanie miasta przez Anglików rok później zniszczyły starą zabudowę Aleksandrii. Podczas II wojny światowej miasto stało się bazą brytyjskiej floty wojennej.

Z Aleksandrią związany jest ważny rozdział w historii kartografii. W niej zostały położone podwaliny rozwoju naukowego kartografii i geografii (obie te dziedziny stanowiły wówczas jedną gałąź nauki). Podstawę rozwoju stanowiły: wspaniała akademia, muzeum, a zwłaszcza olbrzymia biblioteka. Swoją wielkość biblioteka zawdzięczała zapobiegliwości króla Egiptu Ptolemeusza III Euergetesa (III wiek p.n.e.), który nakazał, aby wszystkich wizytujących go gości rewidować, a znalezione przy nich teksty konfiskować i kopiować. Oryginał był oddawany do biblioteki, a kopia odwiedzającemu. Tworzony w ten sposób zbiór szybko się powiększał. Biblioteką przez wiele lat kierował wybitny astronom i geograf Eratostenes (275-194 p.n.e.). Przybył on do Aleksandrii, na zaproszenie Euergetesa, jako nauczyciel królewskiego syna. Znany jest przede wszystkim z tego, że pierwszy dokonał pomiarów Ziemi, uważając ją za kulę. Eratostenes przyjął, że dwie miejscowości, Aleksandria i Syene (dzisiejszy Asuan), leżą na tym samym południku. Wiedział, że w Syene podczas przesilenia letniego promienie słoneczne padają prostopadle. W tym dniu zmierzył wysokość Słońca w Aleksandrii i stwierdził, że łuk między Syene i Aleksandrią wynosi 1/50 część obwodu koła. A ponieważ znana mu była odległość między tymi miastami, mógł obliczyć obwód Ziemi, który określił na 252 000 stadiów, czyli około 39 800 km (zakładając, że jedno stadium równa się około 158 m). Otrzymany wynik świadczy o dużej precyzji pomiarów wykonanych przez tego znakomitego uczonego. Od czasu pomiaru Eratostenesa można uważać, że sprawa kartografii i współrzędnych geograficznych stanęła na doświadczalnym fundamencie.

Po długiej, prawie 40-minutowej jeździe docieramy na nabrzeże. Przez cały czas mijamy stare kolonialne zabudowania oraz obszerne place z pomnikami. Wsiadamy i szukamy hotelu, okazuje się, że wysiedliśmy trochę za daleko i teraz musimy podreptać z powrotem. Odnajdujemy nasz hotel New Welcome Hotel na piątym piętrze kolonialnego budynku przy samym nabrzeżu. Winda jest nie czynna więc musimy się wdrapać tam o własnych siłach. Swoją drogą winda wygląda niczym z kolonialnych czasów, nieduża, częściowo drewniana z metalowymi elementami. Wygląda naprawdę ładnie... szkoda tylko, że znajduje się w takim miejscu i jest dewastowana przez niechlujnych Arabów. Dokładnie w połowie drogi wymiękam. Schody, które prowadzą do hotelu wyglądają równie nieciekawie, jak otoczenie. Wszędzie dookoła bród, a za oknami śmietnisko.

Dochodzimy do piątego piętra. Wita nas ogromnych rozmiarów Arab, który jest tak gruby, że mógłby z powodzeniem brać udział w walkach sumo. Dostajemy dwa bardzo obskurne pokoje... a łazienka jest jeszcze gorsza, ale cóż można chcieć za 10 funtów? W łazience trzeba uważać, żeby niczego się nie dotknąć, bo wszędzie może czaić się jakaś zaraza. Aśka z Doktorą mają łazienkę w swoim pokoju. Mała budka wydzielona z pokoju. Wody jeszcze nie ma, ma być podobno później, postanawiamy więc pójść coś zjeść, bo jesteśmy bez śniadania.

Szukanie czegoś odpowiedniego, co nadawałoby się na śniadanie zajmuje nam trochę czasu. W końcu, będąc już naprawdę głodnymi dopadamy baru szybkiej obsługi. Zamawiamy tanie kanapki z mięsem, które okazuje się być... wątróbką!!! NIENAWIDZĘ WĄTRÓBKII (!!!), ani żadnych innych podrobów. Fuj, wstrętne, ohyda, blee. Ale cóż... jestem głodna i zjadam to. Po czym dopycham w siebie kushari dla zabicia smaku po wątróbce.

Wracamy do hotelu, woda już jest. Myjemy się i mamy zamiar zobaczyć aleksandryjskie katakumby. Stojąc na ulicy próbujemy jakoś zlokalizować do nich drogę. Pytamy przechodniów, ale nikt w Aleksandrii nie mówi po angielsku. Robi się wokół nas tłumek Arabów, którzy dyskutują między sobą, zapewne o tym dokąd zamierzamy dojechać. Katastrofa. Wydawałoby się, że co jak co, ale w takim mieście ludzie znają język obcy. Długo błądzimy pytając napotkanych ludzi, ale nareszcie trafiamy na odpowiednią linię tramwajową, która ma dowieźć nas na miejsce. Jednak gdzieś w połowie drogi mamy przymusowy przystanek. Tramwaj dalej nie pojedzie, bo ulica przed nim została zatarasowana przez muzułmanów, którzy wyciągnęli dywany do modlitwy i rozłożyli je właśnie na ulicy. Hmm, co to za dzień tygodnia dzisiaj? Ano tak, piątek, to taka niedziela dla muzułmanów. Muezin wzywa do pobliskiego meczetu swoich wiernych, jednak nie wszyscy się zmiszczą, więc rozkładają się przed meczetem na ulicach. Każdy Arab podchodzi do dywanu, ściąga buty i staje w rzędzie. My siedzimy w tramwaju i czekamy, bo on utknął w tłumie modlących się Arabów. Przyglądamy się temu, co dzieje się na ulicy. Arabowie raz stoją, raz klękają, to znowu biją pokłony, ponownie wstają i od czasu do czasu chóralnie coś odpowiadają. Tymczasem my rozplywamy się w tramwaju z gorąca. Upał nie jest taki znowu duży, ale tutaj nad Morzem Śródziemnym panuje straszliwa wilgotność. Nasza skóra aż się od niej lepi.

W końcu przestają się modlić. Zwijają powoli dywany, a tramwaj równie powoli przesuwa się przez tłum. Przejeżdżając koło meczetu, znowu na chwilę przystaje, bo z wnętrza świątyni wynoszą zawinięte w białe płótnie zwłoki trzech osób – to zapewne pogrzeb. Przez chwilę tramwaj jedzie za tłumem, który odprowadza zmarłych.

Dojeżdżamy do katakumb, kupujemy bilety, znowu przechodzimy przez kontrolujące bramki. Potem dopada nas jakiś Arab, który ostatecznie przekonuje nas do swoich usług przewodnickich.

Pod koniec I w. n.e. egipska Aleksandria była miastem, w którym przeważały tradycje Grecji i Rzymu. Coraz większą popularnością cieszyli się chrześcijanie, ciągle też pamiętano o potędze dawnego Egiptu. Było to miejsce, gdzie ludzie byli raczej skłonni łączyć kultury, niż je niszczyć.

Do dziś niewiele zostało z tego, co w Aleksandrii wybudowano na powierzchni ziemi, ale pod ziemią trwają zdumiewające pozostałości kultury sprzed 1900 lat: katakumby Kom esz-Szukafa, czyli „Kopca Skorup”. Ta trzypoziomowa budowla została wydrążona w litej skale nieopodal starożytnego stadionu i nie istniejącej od dawna świątyni Serapisa. Wiele takich katakumb przecinało podziemia Aleksandrii, ale trzęsienia ziemi i roboty budowlane doprowadziły do ich zniszczenia lub zasypania wejścia.

Katakumby Kom esz-Szukafa zostały odkryte dopiero w 1900 r. przez... osła. Zwierzę wpadło do dziury w ziemi, która okazała się szybem wejściowym katakumb. W głąb katakumb prowadzą antyczne kręcone schody. Pod koniec II w. n.e., gdy Kom esz-Szukafa było miejscem pochówków, zwłoki opuszczano na linie w głąb szybu otoczonymi schodami. Klatka schodowa kończy się przedsionkiem, gdzie w ściennych niszach osadzono dwie ławy. Nisze są obramowane motywem muszli, spotykanym w klasycznej ornamentyce. Przedsionek otwiera się na rotundę wspartą na sześciu filarach. Znajduje się tu również sala, w której odbywały się stypy dla uczestników pogrzebu. Leżąc na kamiennych, przykrytych poduszkami łożach, ucztowali, wspominając zmarłego.

Uczeni sądzą, że katakumby pierwotnie służyły tylko jednej rodzinie, dopiero później przekształciły się w miejsce masowych pochówków. Tłumaczyłoby to, dlaczego w skale wyciosano tak wiele komórek.

Klatka schodowa prowadzi z rotundy w dół, na drugi poziom, pełen niesamowitych, niemal żywych rzeźb. Podpierające dolny przedsionek kolumny są zwieńczone typowymi dla sztuki starożytnego Egiptu głowicami z kamiennymi liśćmi papirusu, lotusu i akantu, a na opartym na nich fryzie widnieją wizerunki dwóch sokołów, między którymi przedstawiono uskrzydłone słońce. W niszach wyrzeźbiono figury mężczyzny i kobiety, dla których prawdopodobnie był przeznaczony grobowiec. Mężczyzna stoi w godnej pozie, jaką znamy z rzeźb starożytnego Egiptu, jednak głowa posągu jest przedstawiona bardzo realistycznie (sztuka Grecji klasycznej). Kobieta również stoi wyprostowana, ale włosy ma ułożone na sposób rzymski. Przyległej komory grobowej strzegą dwie rzeźby Anubisa. Jedna z nich ma jednak krokodyli ogon, może więc przedstawiać boga o imieniu Sobek. Oba bóstwa noszą zbroje rzymskich żołnierzy.

Przy ścianach komory stoją trzy olbrzymie sarkofagi, z przytwierdzonymi na stałe wiekami. Uczeni przypuszczają, że ciała wsuwano do nich od tyłu, od strony korytarza okalającego komorę grobową. Kolejną strukturą okrążającą usytuowaną pośrodku komorę grobową jest korytarz, w którego ścianach wydrążono 91 nisz, a każdą przeznaczono dla trzech mumii.

Powracając na pierwszy poziom, zwiedzający mogą przedostać się do odrębnej nekropolii przez wyłom w ścianie rotundy, którego nie było w planach pierwszych budowniczych katakumb. Prowadzi tamtędy droga do tzw. Sali Karakalli, gdzie znaleziono kości końskie i ludzkie. Nazwa sali pochodzi od incydentu z 215 r. p.n.e., gdy cesarz Karakalla wezwał do siebie aleksandryjską młodzież i kazał wymordować wszystkich, którzy się stawili.

Podziw budzą nie tylko rozmiary i dekoracje katakumb Kom esz-Szukafa, ale i połączenie w ich wystroju elementów różnych kultur. Zabytek jest wymownym świadectwem czasów, kiedy na ziemi egipskiej nakładały się trzy kultury, trzy tradycje artystyczne i trzy religie.

Nasz przewodnik całkiem nieźle odpowiada. Ma jednak pewną wadę charakterystyczną dla prawie wszystkich Arabów. Jego język angielski jest dość śmieszny, gdyż zamienia w wyrazach literę „p” na „b” lub odwrotnie. I tak zamiast people mówi beoble... Trzeba się dobrze wsłuchać, żeby załapać tę małą, aczkolwiek znaczącą zmianę.

Wracając z katakumb idziemy na dworzec kupić bilety na pojutrze do Kairu. Po drodze mijamy jedyny w Egipcie rzymski teatr z III-IV w. jednak jest już nieczynny i nie możemy go zobaczyć dokładnie. Jedynie przez wejście zerkamy na zabytek.

Gdy zapada zmierzch wychodzimy ponownie z hotelu na spacer oświetloną promenadą nad zatoką. Jest strasznie tłoczno. Mam wrażenie jakby cała ludność Aleksandrii wyległa wieczorem na ulice. Opanowali nie tylko promenadę, ale i handlowe ulice, na których dokonują dość dużych zakupów. Moczymy nogi w morzu – sam syf – a ludzie kąpią się tutaj, niczym na plaży. Kobiety oczywiście w ubraniach. Na koniec, na brzegu widzę wielką głowę ryby. Fuu, od razu odechciewa mi się dalszego moczenia nóg. Wychodzę. W życiu nie wykapałabym się tutaj.

Wracamy do hotelu po drodze wpadając do sokarni na soki ze świeżo wyciskanych owoców mango oraz bananów. Coś przepysznego. Sok z mango jest pomarańczowy i bardzo gęsty. Przyjdziemy tutaj jutro, bo jest to coś fantastycznego. Widać, że sokarnia cieszy się powodzeniem, bo kłębią się tutaj tłumy Arabów.

Przedzieramy się przez niezliczoną ilość ludzi. Część kobiet w Aleksandrii ubrana jest po europejsku, ale i tak znaczna część nosi tradycyjne stroje.

Ale dzień... idziemy spać. Klimatyzacji w pokojach nie ma niestety, próbujemy zasnąć przy otwartych oknach przez które wdziera się hałas panujący na ulicach.

2 sierpień 2003

Dzisiaj pozawalamy sobie na spanie prawie do 8 rano, co wcale nie jest takie dobre, gdyż od nadmiaru snu od samego rana zaczyna mnie boleć głowa. A może to sprawa kutejszego, ciężkiego od wilgoci klimatu. Aśka jest cała pokąsana przez pchły, które mieszkają w jej sienniku. Wieczorem odkryła dziurę w łóżku. Zrzuciła siennik, żeby ułożyć deski, tak aby tej dziury nie było, wzruszyła siennik i pchły powyłaziły i dały nocą czadu.

Spacerkiem idziemy promenadą w kierunku widocznego z naszego hotelu fortu. Idziemy ponad godzinę wzdłuż zatoki. Cały czas mijamy kolonialne budowle oraz szerokie place. Ostatni odcinek do fortu przypomina mi gdyński Skwer Kościuszki. Znajduje się tutaj Instytut Oceanologii oraz akwarium.

Najpierw idziemy do muzeum z makietami ryb, które można spotkać w Morzu Śródziemnym i Czerwonym. Znajduje się tutaj ogromnych rozmiarów szkielet wieloryba, który został wyłowiony w okolicy. Zajmuje całą salę. Nie chciałabym spotkać się oko w oko z takim stworem.

Z muzeum szybko się ewakuujemy, gdyż nadciągnęła do niego wycieczka kilkudziesięciu mężczyzn. Zapewne z jakiejś męskiej szkoły. Trzeba uciekać czym prędzej, tym bardziej, że nam dziewczynom bardzo się przyglądają.

Z fortem wiąże się dość ciekawa historia. U wejścia do portu w Aleksandrii, na wyspie Faros, powstała pierwsza na świecie latarnia morska. Budowano ją przez 20 lat. Wyglądała naprawdę imponująco. Wystarczy powiedzieć, że była tylko o 26 m niższa od wielkiej piramidy Cheopsa.

Kiedy w 331 roku p.n.e. Aleksander Wielki przebywał w Egipcie, polecił swojemu architektowi, Deinokratesowi, zaprojektować miasto Aleksandrię. Po śmierci Aleksandra Egipt przypadł jego wodzowi Ptolemajosowi, który z Aleksandrii uczynił swoją stolicę. Na krańcu wyspy Faros architekt Ptolemajosa, Sostratos z Knidos, wznosił wieżę stanowiącą punkt orientacyjny dla statków. Imię jej twórcy przetrwało do naszych czasów dzięki pewnemu podstępowi, którego dopuścił się architekt. Król chciał, aby na wieży znajdowały się inskrypcje wyłącznie z jego imieniem. Architekt wyrzył w kamieniu napis: „*Sostratos, syn Deksifanesa z Knidos poleca wszystkim żeglarzy opiece bogów.*” Następnie napis ten pokrył

cienką warstwą tynku, na którym umieszczono inskrypcję królewską. Po pewnym czasie tynk odpadł i odsłonięty został napis z imieniem architekta.

Latarnię morską ukończono za panowania Ptolemajosa II. Miała od 115 do 135 m. wysokości. Składała się z trzech części o kształcie walca. We wnętrzu znajdowały się spiralne schody wiodące na szczyt. Na szczycie palono ogień, który ułatwiał żeglarzom znalezienie drogi do portu. Płomień latarni widoczny był z odległości 50 kilometrów. Latarnia służyła żeglarzom przez 15 wieków. W 1302 roku runęła na skutek trzęsienia ziemi. Na fundamentach latarni stoi zbudowany w końcu XV w. fort sultana Qaitbaja. Dziś Muzeum Morskie.

Fort robi na nas wrażenie. Jednak i stąd musimy uciekać, bo męska wycieczka z muzeum przeniosła się teraz do fortu. Przed ich ciekawskimi i natarczywymi spojrzeniami chowamy się w jednym z pomieszczeń fortu.

Po zobaczeniu fortu idziemy do akwarium. Jest niewielkie. Kilkanaście akwariów z kolorowymi rybkami oraz żółwiami. Wszystko to ładne, tylko trochę mało.

Stąd postanawiamy pojechać w inną część miasta, bo niektórzy z nas mają ochotę zobaczyć muzeum jubilerskie. Jazda trwa ponad godzinę, bo po pierwsze tramwaj strasznie wolno jedzie, a po drugie musimy się przesiąść, gdyż jest to niewłaściwy tramwaj. W dotarciu na miejsce pomaga nam pewien Arab, o dziwo mówiący po angielsku. Zauważyliśmy, że angielski znają dobrze ubrani, starsi panowie. Szczęśliwi, w końcu docieramy do muzeum. Nasze szczęście nie trwa jednak długo, bo okazuje się, że jest ono w remoncie i niestety nieczynne. Tyle drogi, czasu i zachodu i nic z oglądania biżuterii.

Wracamy więc i udajemy się do Biblioteki Aleksandryjskiej. Jest jeszcze zamknięta. Otwierają za godzinę. Postanawiamy zjeść jakieś falafle, a potem wracamy kupić bilety wstępu.

Nowoczesny budynek Biblioteki Aleksandryjskiej, którą zaczęto budować w 1995 roku, znajduje się w dawnej Dzielnicy Królewskiej, zwanej Bruchejon, w pobliżu przylądka Silsila. W tej części miasta stała też biblioteka starożytna. Oficjalną decyzję o odbudowie biblioteki podjęto w 1990 roku na konferencji w Asuanie, w której uczestniczyli przedstawiciele wielu państw, dygnitarze oraz ludzie kultury z całego świata. Temu wielkiemu przedsięwzięciu patronował egipski rząd i UNESCO. Zgodnie z deklaracją złożoną na konferencji, nowa biblioteka ma stanowić więź z przeszłością i być otwarta na przyszłość. Ma być oknem, przez które świat spogląda na Egipt i oknem Egiptu na świat. Cała inwestycja jest dziełem międzynarodowym. Największy wkład finansowy wniosły kraje arabskie m.in. Kuwejt, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie. Pomoc swą okazały także kraje europejskie i Japonia. Twórcą nowoczesnego projektu jest zespół architektów z Norwegii.

Konstrukcja ma przypominać wschodzące nad morzem słońce, a ponieważ między morzem i budowlą przebiega szeroka ulica, od strony północno-wschodniej wybudowano baseny wodne. Wielki szklany dach o średnicy 160 metrów nachylony jest w stronę morza. Jego konstrukcję podpira sięgający 30 metrów mur, na którym przedstawiono alfabety świata. Obok biblioteki znajduje się nowoczesny budynek Centrum Konferencyjnego oraz planetarium. Budynek w kształcie kuli położony jest poniżej bulwaru spacerowego. Jego ciemna barwa wyraźnie kontrastuje z pozostałymi obiektami, a tym samym stwarza wyjątkowe wrażenie. W nowoczesnej architekturze całego kompleksu nie brak elementów nawiązujących do starożytności. W gmachu Centrum Konferencyjnego dopatrzeć się można kształtu piramid, słupy podpierające szklany dach biblioteki przypominają kolumny o kapitelach papirusowych. Przed biblioteką znajduje się pomnik inspirowany egipskimi obeliskami.

Biblioteka składa się z wielu specjalistycznych pomieszczeń. Oprócz Głównej Biblioteki jest tam m.in. Biblioteka dla Młodzieży, Biblioteka dla Niewidomych, Muzeum Nauki, Muzeum Kaligrafii, Pracownia Konserwacji i Restauracji, Centrum Edukacji oraz

teren przeznaczony na ekspozycje. Olbrzymia czytelnia znajduje się na siedmiu poziomach, ułożonych kaskadowo. Czytelnik ma bezpośredni dostęp do księgozbioru. Obecnie w bibliotece, która może pomieścić 8 milionów tomów, znajduje się 200 tysięcy dzieł.

Nowa Biblioteka Aleksandryjska ery cyfrowej wywołuje duże emocje. Doceniana przez architektów, podziwiana przez turystów, jest dumą Aleksandryjczyków i nadzieją, że to miasto znowu stanie się centrum kultury i nauki świata śródziemnomorskiego, a także miejscem dialogu między cywilizacjami.

Bibliotekę Aleksandryjską założył Ptolemeusz I Soter. Przy jej tworzeniu kierował się radami Demetriosa z Faleronu. Następcy Ptolemeusza I, aż do czasów Kleopatry VII, przyczyniali się do dalszego rozwoju biblioteki. Celem Ptolemeusza było stworzenie z Aleksandrii naukowej i kulturalnej stolicy ówczesnego świata, w myśl zasady: „wiedza równa władzy”. Przybywali tutaj najwięksi uczeni, co sprawiło, że Aleksandria stała się w III w. p.n.e. głównym ośrodkiem naukowym. Biblioteką kierowali min.: Zenodotos z Efezu, Apollonios z Rodos, Eratostenes z Kyreny, Arystofanes z Bizancjum oraz Arystarch z Samotraki. W największej bibliotece starożytności znajdowały się pisma w różnych językach. Zbiory aleksandryjskie były doskonale opracowane. Kallimach sporządził pierwszy katalog, składał się on z 120 ksiąg zwanych Pinakes (Tablice). W tym okresie biblioteka posiadała 490 tysięcy rękopisów. W II w. p.n.e. stworzono drugą bibliotekę tzw. Bibliotekę Córkę, która znajdowała się przy świątyni Serapisa i mieściła 42 tysiące zwojów.

Biblioteka w Aleksandrii przyczyniła się do uratowania spuścizny literackiej Grecji, zawdzięczając to z jednej strony wspaniałomyślności królów egipskich, którzy widzieli swój obowiązek w zabezpieczaniu skarbów przeszłości, z drugiej zaś zespołowi uczonych, którzy nie szczędzili trudu, aby to dziedzictwo literackie sklasyfikować i opisać.

Okoliczności zniszczenia biblioteki nie są do końca wyjaśnione. Część zbiorów uległa spaleni w wyniku działań strategicznych Juliusza Cezara. W roku 273 n.e. w Dzielnicy Królewskiej wybuchł pożar, którego sprawcą był cesarz Aurelian. W wieku III i IV Aleksandrię dotknęły wielkie trzęsienia ziemi, które spowodowały zatopienie północnej części miasta. „Biblioteka Córka” spłonęła za przyczyną patriarchy aleksandryjskiego Teofila. O zniszczenie biblioteki oskarża się też kalifa Omara, który zajął Aleksandrię w 642 roku po zdobyciu Aleksandrii, polecił Arabom spalić wszystkie książki niewiernych.

Biblioteka jest niesamowita, chodzimy po wszystkich dostępnych poziomach, a każdy z nich to inna dziedzina nauki. Znajduje się tutaj też duża liczba komputerów z dostępem do Internetu. Jak więc nie oprzeć się takiej pokusie? No właśnie, nie można. Dowoli możemy pisać maile i wysyłać smsy. Znajdujemy też w katalogu biblioteki dwie polskie książki – „Pan Tadeusz” Mickiewicza oraz coś Sienkiewicza. Poza tym mile działa klimatyzacja, dlatego też w bibliotece spędzamy aż dwie godziny.

Wracamy do hotelu, ale po drodze okazuje się, że Aśka z Anią nie mają klucza do pokoju. Został przy bramce do wykrywania metalu w bibliotece. Wracają więc do niej, ale klucza niestety już nie ma. „Sumo” w hotelu nie jest zły, bo jak się okazuje, jeden i ten sam klucz otwiera wszystkie pokoje!

Wieczorem wychodzimy z zamiarem połażenia po suku. Nic z tego. Płaczymy się tylko po niezłych ulicach handlowych miasta. Suku nie możemy znaleźć. Na ulicach oczywiście panuje tłok, Aleksandryjczycy znowu ruszyli na nocne zakupy. Idziemy więc na soki z mango oraz bananów. W sokarni spotykamy Syryjczyka mówiącego po... polsku. Pływał na statkach i nauczył się. Był bardzo szczęśliwy, że mógł wykorzystać znajomość tego języka.

Po wypiciu wybornych słodkich, klejących soków wracamy do hotelu. Jutro wstajemy bardzo wcześnie i jedziemy do Kairu – stolicy Egiptu.

3 sierpień 2003

Pobudka o 4:30. Wychodzimy z hotelu i łapiemy na ulicy busa, który zawiózłby nas na dworzec kolejowy. Nie mija chwila i mamy transport. Dobijamy ceny przejazdu i pakujemy się do środka z plecakami. Po czym jedziemy... od krawężnika do krawężnika, bo kierowca szuka kogoś, kto rozmawia po angielsku, bo w sumie to nie wie gdzie chcemy jechać. Co za ludzie! Nie rozumieją, co się do nich mówi, ale chcąc zarobić i tak nas biorą do busa. Potem będą się martwić. Gdy wyciągamy bilet pociągowy, kierowca przytomnieje. Teraz już wie gdzie nas zawieźć.

Punktualnie o 6 pociąg opuszcza Aleksandrię. Zasypiam i... budzę się po trzech godzinach już w Kairze. Do stolicy wjeżdżamy długo. Cały czas ciągną się biedne dzielnice na przedmieściach Kairu. W końcu wysiadamy. Kierujemy się do metra, aby dostać się do hotelu, który znaleźliśmy w przewodniku. W metrze trochę czasu zajmuje nam złapanie kolejki, bo jeżdżą tak zapelnione, że początkowo nie możemy wsiąść do żadnego wagonu. W ten sposób przepuszczamy dwie kolejki. Tymczasem zauważamy, że dwa pierwsze wagony metra są tylko dla samotnie podróżujących Arabek. Wsiadamy, a raczej wpychamy się do trzeciej nadjeżdżającej kolejki. Potem wysypujemy się na interesującej nas stacji metra. Zabieramy się za szukanie hotelu Minerwa. Jednak przy samym wyjściu z metra dopada nas Arab, który proponuje nam, że zaprowadzi nas do hotelu Dahab znajdującym się na dachu budynku, siódme piętro, gdyż hotel Minerwa jest nieczynny. Nie bardzo mu wierzymy w to zamknięcie Minerwy, ale cóż cena niczego sobie, poza tym nie będziemy błędzić szukając hotelu. Idziemy razem z Arabem. Pierwsze spotkanie z hotelem nie jest korzystne. Winda jest nieczynna, więc drepczemy na to siódme piętro. Na dach dochodzimy ledwie żywi. Kwaterujemy się, ale zaraz okazuje się że nie ma wody i w sumie nie wiadomo kiedy będzie.

Jesteśmy zatem w Kairze, największym mieście kontynentu afrykańskiego, położonym po obu stronach jednej z najdłuższych rzek świata - Nilu. Ta 18 milionowa metropolia, posiadająca bardzo ciekawą i zróżnicowaną architekturę, nazywana bywa „Miastem tysiąca minaretów”. Na ulicach oprócz Egipcjan jest wielu Nubijczyków, Arabów i Beduinów.

Teren obecnego Kairu zamieszkały był już w okresie neolitu. W okolicy leżała stolica Starego Państwa – Memfis, Giza zaś, nekropola władców egipskich IV dynastii, jest dziś dzielnicą Kairu. W I w. p.n.e. Rzymianie postawili tu warownię Babylon, która w czasach bizantyjskich pełniła rolę centrum administracyjnego. W 641 roku zdobyta przez Amr ibn al-Asa (budowa miasta Al-Fustat). Miasto rozrastało się w kierunku północnym i zajęło wyspę Roda.

Pod koniec IX w. Ibn Tulun zaczął budować nową część miasta - Askar (dzielnica rezydencjonalna). W roku 969 wojska berberyjskie zajęły miasto w imieniu Fatymidów. Założono nowe miasto Al-Kahira. W 972 roku Kair był siedzibą Fatymidów, a od 973 roku stolicą Egiptu. Fustat nazywa się odtąd Starym Kairem. Pod koniec X w. Kair był jednym z największych miast Wschodu. Rozkwitał pod rządami dynastii Fatymidów, Ajjubidów i Mameluków. W roku 1517 dostał się pod panowanie Turków osmańskich. W latach 1798-1801 pod panowaniem francuskim, następnie angielskim. W 1922 po zniesieniu protektoratu angielskiego stał się stolicą Egiptu.

Nie ma wody, więc nie ma co siedzieć w hotelu. Postanawiamy w takim razie zobaczyć sławne Muzeum Starożytności. Przy wyjściu z budynku pewien Arab mówi, że w tej chwili jest zamknięte, a otworzą o 13. Robi się więc półtorej godziny wolnego. W takim razie pójdziemy zobaczyć Nil. Oczywiście błędzimy i dopada nas mały, chichoczący Arab, który mówi, że pokaże nam drogę do Nilu. Co chwilę powtarza: „no money, no bakszisz”. Nie ma jednak nic za darmo, bo prowadząc nas opowiada, że ma tu sklep z perfumami. Nie mija parę chwil, a już zostajemy wciągnięci do sklepu i siedzimy na kanapach. Sklepik nie jest duży, ale na wszystkich czterech ścianach zamontowane są szafki z butelkami perfumów,

oraz malutkimi flakonikami, które można kupić razem z perfumami. Cały sklep jest iście kolorowy od tych flakoników. Mają różne kolory i wymyślne kształty. Zaraz serwują nam herbatę, a śmieszny Arab podsuwa nam flakony perfum do wachania. Po chwili na rękach robi nam się wybuchowa mieszanka zapachów. Wszystkie dziewczyny kupują zapach lotosu, bo ten w sumie jest najładniejszy ze wszystkich. Na koniec dostajemy małe prezenciki – zapachowe ni to świeczki ni to kadzidelka. Sama nie wiem, co to dokładnie jest. W sumie nie jest dobrze. Jeśli dostajemy od niego prezent, oznacza to tylko jedno. Zrobił na nas dobry interes, czego nie można powiedzieć o nas. Przeplaciliśmy perfumy, jak nic. Opuszczamy perfumerię i idziemy do muzeum. Okazuje się, że wcale nie jest nieczynne, a wręcz przeciwnie są w nim tłumy turystów. Kairczycy są okropni. Cały czas zaczepiają nas na ulicy i próbują wciągnąć do swoich sklepów, mówią „no bakszisz”, ale „come and look my shop”.

Kupujemy bilety, przechodzimy przez bramki i jesteśmy przed wejściem do gmachu muzeum. Dwa posągi po każdej stronie wejścia do muzeum symbolizują Północ i Południe starożytnego Egiptu. Jedna z postaci trzyma lotos, druga papirus. Muzeum Egipskie na placu Tahrir jest Mekką egiptologów. Francuski egiptolog Mariette Pasza nalegał na zbudowanie wielkiego muzeum do przechowywania staroegipskich dzieł sztuki. Dwadzieścia lat później francuski architekt Marcel Dourgnon przedstawił plan Muzeum Egipskiego, które miało być usytuowane w centrum Kairu. Muzeum zostało otworzone w 1902 r., a na jego dyrektora powołano Gasto Maspero. Jest tam duża biblioteka oraz sto sal wystawienniczych, rozlokowanych na dwóch piętrach. Większość zbiorów Muzeum wiąże się z Tutenchamonem, choć nie tylko. Bogate zbiory reprezentują liczne dzieła sztuki z czasów starożytnych, jak chociażby posągi Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa, kilka posągów Ramzesa II, a także kolekcje Tutmozisa III i Alhnatuna.

Ilość eksponatów na metr kwadratowy jest imponująca. Całość tworzy wrażenie wielkiej rupieciarni. Od razu przy wejściu: duplikat kamienia z Rosetty (po prawej), triady faraona Mykerinosa (po lewej), w środku bodajże najważniejsza paleta w dziejach świata - paleta pierwszego faraona Narmera, a nad głową mumia wielkiego budowniczego i ojca 500, bez mała, dzieci - Ramzesa II. Dalej w głębi gigantyczne posągi faraona Amenhotepa III (najpotężniejszy w dziejach Egiptu) i jego żony Teje.

Złoty sarkofag Tutenchamona wykonano ze stu osiemdziesięciu kilogramów litego złota. Jest to prawdopodobnie największy i najwspanialszy w historii przykład sztuki złotniczej. Ciało młodego władcy Tutenchamona, który zmarł w wieku osiemnastu lat, złożono do trzech sarkofagów. Wewnętrzny i zewnętrzny znajdują się wśród jego zbiorów Muzeum Egipskim. Grobowiec faraona został odnaleziony w Tebach - w Dolinie Królów w 1922 r. przez Howarda Cartera po sześciu latach ciężkiej pracy - pod zwałami żwiru, jakie nagromadziły się nad nim podczas odkopywania grobowca Ramzesa VI.

W muzeum żeby obejrzeć wszystko, trzeba na nie poświęcić kilka dni i chyba być maniakalnym pasjonatem. Jest tu wszystko od ogromnych posągów i kolumn, przez sarkofagi, rydwany, kawałki ścian z hieroglifami, wyposażenie ówczesnych ludzi, biżuterię, aż po mumie zwierząt. Najlepszą częścią muzeum, której nie można ominąć, jest sala z jedenastoma mumiami faraonów i księżniczek. Znajduje się w niej również mumia sławnego gigantomana – Ramzesa II. Cieszę się, że mogę go poznać. Ma nawet resztki włosów na głowie o dziwo... jasnych. Poza tym nie jest wcale wielkich rozmiarów. Znajdują się tutaj również mumie dwóch kobiet. Jedna z nich była nubijską księżniczką. Obie mają swoje naturalne włosy – zawinięte niczym świderki. Niesamowite, że dotrwały do naszych czasów. Większość mumii jest w tak dobrym stanie, że wygląda, jakby spała, a mają po kilka tysięcy lat. Chodzę sobie i oglądam te mumie. Ramzes II – faraon, który chciał być wielki i w sumie takim się stał. Pozostawił po sobie ogromne budowle i... samego siebie. Minęło kilka tysięcy lat od jego śmierci, a on nadal żyje, kolejne pokolenia ludzi przyjeżdżają i podziwiają zarówno jego dzieła jak i... jego samego. Doktora Bakteria ma pole do popisu... może

przyglądać się użębieniu, jakie posiadają mumie faraonów. Zachowały się również w zadziwiająco dobrym stanie.

Zwiedzanie muzeum zajmuje nam ponad 3 godziny. Przy samym końcu mam już serdecznie dość. Bolą mnie nogi. Ponadto w muzeum panuje straszna duchota, która przez trzy godziny ma prawo wymęczyć każdego. Ostatnie sale przechodzę w pośpiechu, aby jak najszybciej znaleźć się przy wyjściu.

Spotykamy się w umówionym miejscu przed muzeum i idziemy zjeść jakiś obiad. Zjadam kushari. Umęczeni wracamy do hotelu, a tu czeka nas niespodzianka. Wody nadal brak i zapowiada się, że jej dzisiaj nie będzie. Właściciel hotelu łaskawie stwierdza, że jeśli chcemy możemy zmienić hotel. Część z nas postanawia iść na poszukiwania hotelu. Już na dole przy wyjściu z budynku zaczepia nas Arab, proponujący nam hotel. Mamy dość Arabów, którzy nas zaczepiają. Przystajemy im wierzyć i nie mamy ochoty, aby prowadził nas do jakiegokolwiek hotelu. Zrywamy go, a on na odchodne ryczy nas polskim przekleństwem k... No ładnie. Szukamy hotelu. Zaglądamy do kilku, ale najczęściej albo są za drogie, albo nie ma miejsc. Ostatecznie dochodzimy do hotelu Minerwa, do którego początkowo mieliśmy jechać, no i przekonujemy się że on rzeczywiście jest nieczynny. Arabowie odsyłają nas na pobliską uliczkę do hotelu Richmond. Ten okazuje się być strzałem w dziesiątkę. Cena przystępna, czysty i są dla nas miejsca. Poza tym bardzo miła obsługa. Wracamy do poprzedniego hotelu, zabieramy plecaki i po raz drugi idziemy do nowego hotelu.

Zmęczeni, wręcz padając z nóg, myjemy się i idziemy zjeść lody w pobliskim McDonaldzie, a potem robi się późno i pora spać. Na jutro rano mamy załatwioną taksówkę, która będzie obwozić nas po czterech miejscowościach z piramidami.

4 sierpień 2003

Dzisiaj w nocy nie jest mi dane się wyspać. Gdzieś w środku nocy budzę się, gdyż czuję ból brzucha i muszę biec do toalety. Pędzę więc, o mało co nie zderzając się w drzwiach z Arabem. Nie mam pojęcia w tej chwili, czy wychodzi z łazienki, bo kąpał się przed pójściem spać, czy też może na dzień dobry. Kiedy wracam do łóżka widzę, że jest dokładnie 2:30. Z ulicy nadal słychać gwar, choć dużo mniejszy niż między 20 - 22, kiedy to całe miasto rusza na mega zakupy. Mam biegunkę i to na potęgę. Po wizycie w toalecie jest dobrze. Nawet udaje mi się zasnąć, jednak po niespełna godzinie budzę się znowu i ponownie biegnę do łazienki. Biegam tak w sumie sześć razy aż do godziny piątej rano. Paweł w międzyczasie aplikuje mi leki i w końcu do siódmej rano śpię w porządku.

O 8 wychodzimy z hotelu. Czeka na nas duża taksówka, która będzie obwozić nas po piramidach. Mam dość duże obawy. Nafaszerowana lekami jadę na ośmiogodzinne zwiedzanie, żeby tylko nie było nawrotu biegunki, bo nie wiem co ja wtedy pocznę.

Na pierwszy ogień idzie Giza z piramidami Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. Kierowca wysadza nas przed biurem „camel ride” po Gizie. Giza jest dzielnicą Kairu. Niegdyś była cmentarzem dla faraonów IV dynastii.

No i oczywiście po raz kolejny dajemy się naciągnąć Arabom i zwiedzanie Giza będzie odbywało się na trzech wielbłędach. Przynajmniej będziemy wiedzieć, jak to jest jechać na wielbłądzie. Trochę czasu upływa, bo Arabowie mają problem z wykombinowaniem wielbłędów. Ehhh, z nimi to już tak jest. Najpierw oferują coś, licząc na zysk, a dopiero potem zastanawiają się skąd to coś wykombinować. Na razie stoi tylko jeden wielbłąd, na którym zasiadają Ewa z Rafałem. Reszta czeka. Po pewnym czasie Arabowie proponują nam konie. My jednak targowaliśmy się o wielbłądy. Chcemy wielbłądy, a nie konie. W końcu są. Ewa z Rafałem od dłuższego czasu siedzą na grzbiecie wielbłąda i zaczynają ich powoli boleć nogi.

Dżamal, czyli po arabsku wielbłąd, który dostaje się mnie i Pawłowi jest jakiś dziwny. Chyba jednoosobowy, bo gdy czuje, że na grzbiecie usiadła jedna osoba, on podnosi się nie czekając, aż wsiądzie druga. Arabowie muszą go więc posadzić znowu, żebym mogła wsiąść i ja. W końcu ruszamy. Jedziemy niczym karawana. Wielbłądy są powiązane jeden z drugim. Mamy ze sobą przewodnika oraz drugiego Araba chyba odpowiadającego za zwierzęta. Licho wie. Podążamy w kierunku piramid. Widać je już całkiem dobrze, ale naciągnięta jest na nie smuga kairskiego smogu. Jedziemy... im bliżej jestem piramid tym coraz bardziej myślę o tym, że wcale nie są takie imponujące. Wydawało mi się, że będą jeszcze większe. Docieramy w pobliże Sfinksa. Zsiadamy z wielbłądów. Trochę dziwnie, bo wielbłądy zostają za wydumą. Coś tu nam nie gra. Czyżby ta agencja działała na „lewo”?

Przechodzimy kawałek i stajemy przed Sfinksem. Jest niezły, tylko trochę... mały. Wielki Sfinks, zwany przez Arabów Abu Ghul, co oznacza dosłownie „ojciec strachu”, czyli „upiór”. Siedemdziesięciotrzymetrowej długości posąg przedstawia lwa o ludzkiej głowie, stanowiącej, jak sądzą niektórzy, podobiznę samego Chefrena, trzymającego straż przed własnym grobowcem. Pierwotnie Sfinks nazywano Horemachet, co oznacza „Horus, który jest na horyzoncie”. Grecy wymawiali to Harmakis. W przeciągu wieków Sfinks wielokrotnie przysypywał piasek, z którego wynurzała się jedynie głowa (pięć metrów wysokości) z twarzą o tajemniczych rysach. Wielokrotnie też ludzie odkopywali go z piachu. Do najbardziej znanej renowacji doszło za panowania Tutmozisa IV, któremu Harmakis ukazał się we śnie i nakazał odkopanie Sfinksa. Do widocznych dzisiaj uszkodzeń w sylwetce i rysach mitycznego zwierzoluda przyczyniła się częściowo erozja, spowodowana przez wiatr, lecz w znacznie większej mierze artyleria Mameluków, którzy upodobali sobie Sfinksa za cel podczas ćwiczeń strzeleckich, to chyba stąd nie ma on nosa. Zdjęcia można robić tylko z boku, bo od frontu nie ma wejścia. Kiedy próbujemy zrobić fotkę od przodu, okazuje się, że Sfinks załania mur.

Wracamy „za wydumą” do wielbłądów. Podjeżdżamy kawałek dalej, bliżej piramid. Zsiadamy i znowu umawiamy się z przewodnikiem w „pewnym ustronnym” miejscu. Jednak tutaj wypatrzyła nas policja turystyczna poruszająca się po terenie piramid na... wielbłądach. Policjant zaczął coś krzyczeć za naszą oddalającą się karawaną. Kiedy nie posłuchali, zaczął na swym wielbłądzie galopować. Jak nic jakaś feralna agencja. Ciekawe, czy kiedy wrócimy z piramid, będziemy mogli jeszcze pojechać na naszych wielbłądach.

Idziemy zobaczyć piramidy. Są w tym miejscu trzy duże i kilka małych. Piramida Cheopsa to świadectwo niezwykłych umiejętności inżynierskich starożytnych Egipcjan. Przez wieki pozostała dosłownie nietknięta i jest jedynym, istniejącym do dzisiejszego dnia cudem świata.

Piramidy zostały wzniesione ok. 2575-2465 r. p.n.e. Największa z nich, grobowiec faraona Cheopsa (Chufu), powstała jako pierwsza. Piramida stojąca pośrodku, zbudowana jako druga, jest nieco mniejsza i należy do syna Cheopsa, Chefrena (Chafra). Trzecia, znacznie mniejsza, jest piramidą faraona Mykerinosa (Menkaura), wnuka Cheopsa. Władcy Egiptu budowali sobie „domy zmarłych”, z szeregiem podziemnych pomieszczeń wyposażonych we wszystko, co miało być im potrzebne w życiu pozagrobowym, łącznie z jedzeniem, sprzętami codziennego użytku i biżuterią. Grobowce te były położone strategicznie, na skraju pustyni na zachodnim brzegu Nilu. Zachód jest stroną, z której znika słońce, starożytni Egipcjanie wiązali go więc ze śmiercią.

Ogromna piramida Cheopsa wznosiła się pierwotnie na wysokość 146,6 metra. Jej podstawa to 230m x 230m. Do budowy użyto około 2,5 miliona kamiennych bloków ważących średnio po 2,5 tony. Bloki te zostały ułożone bez zaprawy, a dopasowano je do siebie tak ściśle, że archeolodzy twierdzą, że w spoiny nie da się wsunąć „igły, ani włosa”. Ta masywna konstrukcja, której budowa zajęła około 30 lat, jest nie tylko zadziwiającym dziełem inżynierskim, lecz także wynikiem sprawnej organizacji pracy około 100 tysięcy

ludzi, wymagała przecież transportu milionów ton materiału. Większość bloków skalnych zostało wyciosanych w miejscowych kamieniołomach, ale wapień użyty do ich oblicowania musiał być przywożony z oddalonej o 13 kilometrów miejscowości Tura położonej na wschodnim brzegu Nilu. Różowy granit, z którego zrobiono komorę grobową, pochodzi z oddalonego o 965 kilometrów na południe Asuanu.

Wewnątrz piramidy jeden korytarz prowadzi w dół, do nie dokończonej komory grobowej, drugi wznosi się w górę, do leżącej w samym środku monumentu komory króla. Z tym samym przejściem łączy się korytarz wiodący do innego nie dokończonego pomieszczenia zwanego komorą królowej, za którą ciągnie się wąskie, odkryte w kwietniu 1993 roku przejście zakończone niewielkimi drzwiami.

W pobliżu Wielkiej Piramidy stoją groby urzędników i krewnych Cheopsa. Są tam też rzędy mastab i niewielkich jam na łódzie. W 1954 roku na południe od piramidy odnaleziono pośród piasków dużą łódź rozebraną na części. Jej ponowne złożenie zajęło dziesięć lat. Być może za życia Cheopsa była to łódź reprezentacyjna, a może planowano, że zostanie użyta dopiero po jego śmierci. Obecnie stoi ona odrestaurowana tuż obok piramidy w osobno wybudowanym klimatyzowanym budynku.

Doskonale zorientowanie Piramidy Cheopsa, której kwadratowa podstawa ustawiona jest niemal dokładnie na liniach północ-południe i wschód-zachód oraz różne mistyczne interpretacje jej wymiarów doprowadziły do powstania wielu teorii wyjaśniających przeznaczenie piramid. Jednym z twórców „kosmicznych” teorii jest Erich von Däniken. XIX-wieczni astronomowie brytyjscy twierdzili, że miały one być obserwatoriami astronomicznymi lub zegarami słonecznymi. Inni badacze piramid sądzą, że są one dziełem „Boskiego Geometry” i zawierają informacje dotyczące daty powtórnego przybycia Chrystusa, lub nawet, że wzniesli je przybysze z kosmosu.

Archeologiczne oraz pisane dowody sugerują, że piramidy były pomnikami zmarłych, lecz niekoniecznie grzebano w nich faraonów. Jedną z funkcji piramid, a także innych grobowców, było stworzenie domu dla duszy, która, jak wierzyli starożytni Egipcjanie, nadal żyje po śmierci człowieka. Być może dlatego, gdy po raz pierwszy od czasów starożytnych dokonano wejścia do grobowca Cheopsa w IX wieku, spodziewając się znaleźć tam skarby. Jednakże nie znaleziono tam kosztowności ani żadnych innych przedmiotów. Archeolodzy wciąż nie mogą dociec, dlaczego komora była pusta, skoro żadne ślady nie wskazują, aby grób został wcześniej splądrowany. Wielka Piramida Cheopsa miała ziścić sen swego twórcy o nieśmiertelności, i udało jej się to, nie pozwalając zapomnieć o jego imieniu przez 5000 lat.

Piramida Chefrena jako jedyna zachowała niestety tylko częściowo u samego szczytu swą zewnętrzną licówkę. Kiedyś była niższa niż piramida Cheopsa, ale dzisiaj jest równej z nią wysokości, ponieważ tamta straciła sporą część wierzchołka. Początkowo piramida Chefrena miała u podstawy okładzinę z czerwonego granitu.

Wreszcie jest jeszcze trzecia piramida, najmniejsza - piramida Mykerinosa. Mierzy ona zaledwie sześćdziesiąt sześć metrów wysokości, ale jej wymiary są absolutnie doskonałe. Jeszcze w XVI stuleciu widniała na niej licówka z granitu, która dzisiaj całkowicie zniknęła. W grobowcu był kiedyś wspaniały bazaltowy sarkofag z ornamentami w tak zwanym „stylu pałacowym”, charakterystycznym dla Starego Państwa. Właśnie do tej trzeciej piramidy wchodzimy do środka. Przed piramidą kłębi się dziki tłum turystów. Jak ja nie znoszę takich miejsc. Wchodzimy do środka. Wejście jest dość wąskie i niskie. Cały czas korytarz schodzi w dół. Nie można się wyprostować, trzeba schodzić skulonym. Korytarzem ciągną dwa sznury ludzi – jeden w dół, drugi w górę. Wewnątrz duchota panuje nie z tej ziemi. Tragedia. Nie można wytrzymać. W pewnej chwili mam ochotę zawrócić, ale jednak staram się zejść do środka. Wszystko to po to, aby zejść do sali grobowej wewnątrz piramidy, w której na dobrą sprawę... nie ma niczego. To, co kiedyś tu było, albo zostało rozgrabione, albo przeniesione do muzeum. Kiedy w końcu wychodzimy ponownie na zewnątrz jestem szczęśliwa, że

wysłałem z tej piramidy. W sumie cały wysiłek nie był tego wart. Nawet na ścianach nie ma niczego.

Po sesji zdjęciowej, jaką urządzamy sobie na tle piramid wracamy do naszych wielbłądów. Na szczęście są. Mój wielbłąd znowu buntuje się, bo stoi, a pozostałe dwa siedzą czekając na wsiadających im na grzbiecie. Kiedy Paweł wsiada na naszego dżamala, ten oczywiście chce wstać, ale Arabowie go trzymają, żeby nie mógł wstać. Jednak kiedy jedną nogą jestem na wielbłądzie, ten wyrzuca się Arabom i wstaje, a ja nieszczęśliwie wiszę trzymając się za siodło wielbłąda. Arabowie próbują mnie wepchnąć na grzbiet wielbłąda, Rafał ściąga mnie, a Aśka robi mi sesję zdjęciową... W końcu znowu siedzę na wielbłądzie, ale strachu się najadłem. Z tym dżamalem coś jest nie tak, przed chwilą nawet wymiotował. Poza tym idąc co chwilę się o coś potyka. Zaraz nas zabije, jak tak dalej pójdzie. Tak w ogóle to jazda na wielbłądzie nie jest taka fajna. Od tego kiwania się można dostać choroby morskiej. Poza tym po każdym zsiadaniu coraz bardziej bolą nas mięśnie nóg. Derka, na wielbłądzie obciera nam nogi. Nic przyjemnego. Współczuję karawanom. Żeby lubić jazdę na wielbłądzie trzeba urodzić się w jego siodle. Marzę, żeby ta jazda już się skończyła. Ale ja mam dzisiaj dzień... dobrze, że moja biegunka się nie odzywa...

Nasz przewodnik co jakiś czas pyta czy jesteśmy szczęśliwi. Hmm no nie wiem... Paweł, kiedy to słyszy bardzo się denerwuje, bo wiadomo, kiedy odpowiemy, że owszem jesteśmy zadowoleni, trzeba mu będzie płacić coś dodatkowo. Paweł, więc pokrzykuje, że... jesteśmy „not happy...”. W końcu docieramy do punktu wyjścia. Uff... Tylko gdzie jest nasza taksówka??? Okazuje się, że teraz pojedziemy z kimś innym... Po pewnym czasie ruszamy w kierunku Sakkary, gdzie będziemy oglądać schodkową piramidę Dżesera.

Sakkara leży na południe od Gizy. Jest zdecydowanie większą od niej nekropolią, ale nie ma tam równie efektownych budowli. Jest ona również z historycznego punktu widzenia najważniejsza, ponieważ spotykamy się tutaj ze wszystkimi głównymi dynastiami, od najstarszej I dynastii po Ptolemeuszów i dynastie perskie. Cmentarzysko szczyliło się szczególną opieką boga Soka-ra (stąd nazwa miejscowości), którego przedstawiano jako zieloną postać z głową jastrzębia.

Właśnie w Sakkarze znajduje się najstarsza piramida świata, tzw. „schodkowa”. Zbudował ją 4,7 tysiąca lat temu legendarny inżynier Imhotep dla faraona Dżesera założyciela III dynastii. Grobu tegoż Imhotepa poszukują aktualnie w okolicy piramidy polscy archeologowie i im się to jeśli powiedzie, będzie to znalezisko na światową skalę. Wokół piramidy Dżesera jest szereg innych, mniejszych i częściowo zrujnowanych. W piramidzie Unisa znajdują się *teksty piramid* - wyryte na ścianach magiczne modlitwy, które miały pomóc zmarłemu faraonowi w zaświatach. W piramidzie Teti ocalał całkiem efektowny granitowy grobowiec.

Aby docenić w pełni oryginalność i znaczenie piramidy Dżesera, trzeba wyjaśnić, co się rozumie poprzez słowo „mastaba”, które po arabsku oznacza „taras”. Mastaby były grobowcami arystokracji i wyższych urzędników państwowych, budowanymi na planie prostokąta z lekko pochyłymi ku sobie ścianami. Faraon Dżeser jako pierwszy zlecił architektowi budowę wielkiego kompleksu cmentarnego. Architekt ten, który nazywał się Imhotep i którego imię wyryto hieroglifami u podnóża posągu Dżesera, stał się dzięki temu pierwszym w historii znanym z nazwiska architektem. Jego arcydzieło sztuki budowlanej było pierwszą w świecie cmentarną piramidą. Imhotep zajmował się nie tylko architekturą. Równocześnie pełnił on urząd najwyższego kapłana i zyskał sławę jako znakomity lekarz. Był to człowiek tak genialny, że Grecy dwa tysiące lat później zaczęli czcić go jako boga pod imieniem Eskulapa. Na czym jednak polegał wynalazek Imhotepa? Otóż z początku zbudował on wielką mastabę, a następnie nakrył ją czterostopniową piramidą. Całość miała ostatecznie sześć tarasów na zachodniej części mastaby. Kilka stuleci później Sumerowie udoskonalili tę formę w swoich zikkuratach. Sześćdziesięciodwuipółmetrowego kolosa również pokrywały

pierwotnie okładziny ze szlifowanego kamienia, które dzisiaj całkowicie zniknęły. Obok piramidy widnieją pozostałości czegoś, co nazywało się „Domem Południowym”. Dzisiaj są to jedynie dwie żłobione kolumny (bardzo przypominające kolumny doryckie), podtrzymujące niegdysiejszy portal z pięknym horyzontalnym fryzem o motywie świętych węzłów, które miały chronić przybytek w przeszłość.

Z Sakkary taksówka wiezie nas do Dashur. Miejsce to upodobał sobie ojciec Cheopsa - Snofru. Nie wiedzieć czemu zbudował dla siebie aż dwie piramidy (i jeszcze trzecią w Medum - bardziej na południu) i w dodatku w żadnej z nich nie złożono jego mumii. Jedna z piramid ma charakterystyczny łamany kształt. Druga jest pierwszą w dziejach piramidą klasyczną. Obok tych dwóch na horyzoncie widać jeszcze ruiny o księżycowych kształtach. To wykonane z cegły mułowej i niszczone w zastraszającym tempie piramidy faraonów 12 dynastii: Amenofisa II i III oraz Sezostrisa III. Starsze piramidy z kamienia zachowane są doskonale, młodsze z mułu już niedługo będą kupami piachu niewiele różniącymi się od pustynnego otoczenia.

Docieramy na miejsce piramidy. Okolice w Dashur jest terenem wojskowym. Turystów mało, właśnie obiekt kończy oglądać jakaś wycieczka Azjatów. Azjaci odjeżdżają, więc jesteśmy sami przy pierwszej klasycznej piramidzie. Jakaż to odmiana po Gizie naszpikowanej tłumami turystów. Gdzieś powyżej widzimy, że na piramidzie znajduje się wejście, do którego prowadzą schodki. Wdrapujemy się do góry. Strażnik wpuszcza nas do wnętrza. Tego się nie spodziewaliśmy. Po raz drugi wchodzimy dzisiaj do środka piramidy, ale tym razem jesteśmy w niej sami, nie ma dzikiego tłumu turystów. Można spokojnie wejść do wnętrza. Jest czym oddychać. Poza tym jest tutaj ciekawiej, bo w sumie schodzimy 60 metrów. 30 metrów jest od wejścia do podstawy i... 30 metrów pod ziemią. Snujemy się więc korytarzami, które prowadzą na różne poziomy piramidy. Raz wchodzimy po drewnianych schodach, bez których nie byłoby można dotrzeć do kolejnej komory. Mieli pomysły ci Egipcjanie. Nawet jest niezła akustyka we wnętrzu tej piramidy. Nie mogę się oprzeć, żeby nie zaśpiewać mojej piosenki o misiu ciągnącym miodek za pomocą rurki...

Z Dashur jedziemy dalej. Mijamy wsie wyglądające niczym wielkie śmietniska, poprzecinane kanałami, w których zalegają śmieci. Ależ tam musi być wylęgarnia zarazków. Przed nami ostatnia z miejscowości dzisiejszego objazdu - wioska Mit Rahina, a właściwie jej pobliskie ruiny w Memfis, czyli Mennof-Ra. To starożytna stolica Dolnego Egiptu. Herodot utrzymuje, że zostało ono założone przez Menesa, który zjednoczył obie części Egiptu. Dziś nie pozostało z Memfis nic prócz odrobiny ruin. Przepowiednia Jeremiasza, że „Memfis opustoszeje do ostatniego mieszkańca, aż ulegnie zagładzie” (Jeremiasz XLVI, 19) sprawdziła się w całej rozciągłości. Jednak Memfis przeżyło całe wieki chwały, ze szczytowym okresem w czasach panowania VI dynastii, kiedy stanowiło centrum kultu Ptaha. W inskrypcji odnalezionej w Abu Simbel, Ramzes II w taki oto sposób zwraca się do boga: „Powiększyłem w Memfis Twój dom, zbudowałem go nie żałując pracy, złota i drogich kamieni...” Poza tym Memfis było również ośrodkiem budowy rydwanów, najważniejszego sektora egipskiego przemysłu wojennego. W centrum miasta musiała kiedyś istnieć cytadela „o białych ścianach”, której budowę rozpoczęto za Imhotepa. Żyli tutaj niegdyś i pracowali ludzie wszelkich ras, wyznań i narodowości.

Wprost trudno uwierzyć, że z całego tego przepychu nie pozostało nic prócz niekończącego się zwałowiska ruin, utraconych kolumn, pojedynczych ścian i okruchów kamieni. Wraz z powstaniem i wzrostem Aleksandrii, Memfis powoli, ale nieuchronnie podupadało, aż wreszcie legło w gruzach. Dzięki licznym wykopaliskom prowadzonym od XIX wieku światło dzienne ujrzały ruiny świątyni boga Ptaha, w której koronowali się faraonowie, oraz małej kaplicy, także poświęconej Ptahowi, zbudowanej przez Seti'ego I. Przed świątynią stał kiedyś cały ciąg monumentalnych posągów Ramzesa II. Ocalały z nich tylko dwa. Jeden, z czerwonego granitu, można podziwiać dzisiaj na placu dworcowym w

Kairze. Drugi leży w całej okazałości na ziemi przed świątynią. Na trzynastometrowej postaci trzykrotnie wykuto w „cartouches” imię wielkiego faraona - na ramieniu, na piersi i na pasku. Kiedy stoimy i oglądamy fragmenty posągu dopada mnie moja utajona biegunka. Całe szczęście, że na terenie ruin znajduje się toaleta, bo nie wiem, co by się ze mną stało.

Kilkadziesiąt metrów dalej można zobaczyć sfinksa z czasów Amenhotepa II. Wykonany z pojedynczego kawałka alabastru, ma cztery i pół metra wysokości, osiem metrów długości i waży, jak się przypuszcza, przynajmniej osiemdziesiąt ton. Niegdyś razem z innymi sfinksami strzegł wejścia do świątyni boga Ptaha.

Wracamy do Kairu i naszego hotelu. Znowu faszeruję się lekami i piję rozpuszczoną smektę. Nie smakuje mi.

Wieczorem taksówkami jedziemy do meczetu Al – Azar. Jednak nie możemy wejść, bo trwają właśnie modły. Musimy odłożyć to na jutro. Postanawiamy więc odwiedzić kairski suk. W końcu prawdziwy suk. Nazywa się Chan al - Chalili i jest zlepkiem targowisk, na których handluje się złotem, srebrem, biżuterią, pamiątkami, ubraniami i wyrobami rzemieślniczymi. Dokonujemy tutaj małych zakupów. Ludzie oczywiście kłębią się wśród wąskich uliczek bazaru. Próbuje znaleźć czajniczek do podawania herbaty, taki jakich na pęczki widziałam w Maroku. Niestety tutaj jak na lekarstwo. Udaje mi się w końcu jeden znaleźć, ale Arab proponuje mi 150 funtów egipskich = 100zł!!! Makabryczna cena, jak na czajniczek. Po pewnym czasie ów Arab odnajduje mnie w tłumie i za czajniczek chce 100 funtów... to i tak nadal jest za dużo.

Po włączeniu się po bazarze wracamy do hotelu i... padamy niczym muchy w łózkach. Na bazar wrócimy jeszcze jutro...

5 sierpień 2003

Wstajemy po 7 rano. Dzisiaj dzień poświęcony dzielnicy muzułmańskiej, czyli spacer po najokazalszych meczetach Kairu. Dzielimy się na dwie trójki i łapiemy dwie taksówki umawiając się przed wejściem do Cytadeli. Jedziemy i dojeżdżamy na miejsce, ale coś jest nie tak, bo za długo nie ma Aśki, Ewy i Rafała. Zaczynamy sprawdzać plan Cytadeli. No tak są dwa wejścia, a to pod którym zostaliśmy wysadzeni jest mniej ważne i... zamknięte. Po trefnym dżamalu przyszedł czas na trefną taksówkę. Mamy do przejścia dość spory kawałek wokół murów Cytadeli. Po grubo ponad 10 minutach docieramy pod główne wejście. Reszta na nas czeka. Kupujemy bilet i wchodzimy na teren Cytadeli.

Stara dzielnica muzułmańska leży w samym centrum miasta. Wszystkie atrakcje ładnie układają się w jednym ciągu począwszy od Cytadeli Saladyna. Całą trasę trzeba przejść pieszo, gdyż przebiega bardzo wąskimi, zatłoczonymi uliczkami, które przejechać taksówką niepodobna. Na domiar złego na tubylców przy rozwiązywaniu problemów topograficznych nie ma co liczyć.

Z oryginalnej Cytadeli Saladyna powstałej w roku 1176 pozostały właściwie mury, ale z każdym kolejnym stuleciem przybywały w jej obrębie kolejne budowle. Pierwszym odwiedzanym przez nas meczetem jest liczący 700 lat meczet sułtana An Nasira Muhammada - niczym nie wyróżniający się poza osobą władcy, który dokonał wyczynu godnego Księgi Guinnessa - siedmiokrotnie zrzucany z tronu zmarł śmiercią naturalną.

Później swoje kroki kierujemy do najładniejszej części - do meczetu Mohameda Alego. Jest on wizytówką merostwa kairskiego. Mohamed Ali (1769-1849) urodził się w Kawalii, w Grecji, i był z pochodzenia Albańczykiem. Jako zawodowy żołnierz znalazł się w jednostce, która miała wyzwalać Egipt spod okupacji francuskiej i która wzięła udział w bitwie lądowej pod Abu Kirem 25 lipca 1799 roku. W 1808 r. Mohameda Alego mianowano głównodowodzącym wszystkich oddziałów albańskich w Egipcie, ale już w roku 1805 Egipcjanie zbuntowali się przeciwko Wali Churszidowi, a Mohamed Ali przejął władzę.

Meczet zbudowany w 1830 r. składa się z właściwego meczetu oraz dziedzińca. Dziedziniec o wymiarach pięćdziesiąt dwa na pięćdziesiąt cztery metry otaczają cztery galerie zdobione marmurowymi kolumnami i zwieńczone niewielkimi kopułkami. Po środku dziedzińca mieści się fontanna dla rytualnych ablucji. Mihrab w meczecie upięksono alabastrem ze złotymi wykończeniami. Duża liczba szklanych wisiorów i kryształowych lamp tworzy jasne kręgi światła wewnątrz meczetu. Potrójny grobowiec Mohameda Alego Paszy znajduje się po prawej stronie od wejścia do jego meczetu. Wykonano go z białego rzeźbionego w kwiaty marmuru i zdobionego dodatkowo malowanymi i złożonymi inskrypcjami. Na tyłach meczetu Mohameda Alego znajdziemy 90-metrową studnię, która przez wieki zaopatrywała cytadelę w wodę. Tutaj w meczecie robimy sobie dłuższą przerwę i siedząc na dywanach odpoczywamy sobie podziwiając przepiękne wnętrze owego meczetu. To jeden z pierwszych widzianych przeze mnie meczetów. Będąc w Maroku można było oglądać meczety tylko i wyłącznie z zewnątrz. Innowiercy niestety nie mogli wchodzić do środka. Ten robi wrażenie swoim przepychem kolorów, złotych wykończeń, czerwonych dywanów i mnóstwa wiszących lamp na równie pięknym suficie. Na głównym placu znajduje się zegar, dar bodajże Brytyjczyków, który... nigdy nie chodził.

Stąd udajemy się do muzeum pożarnictwa i policji. Zwłaszcza ciekawe jest to policyjne. W życiu nie byłam w muzeum policji. Tutaj można obejrzeć kilka sztuk broni, zobaczyć zdjęcia największych morderców, przeczytać opisy przestępstw jakich dokonali. W muzeum znajduje się cela więzienna, jednak nie możemy jej zobaczyć. Jest zamknięta.

Kolejnym miejscem jest ogromnych rozmiarów muzeum wojska. Już przed budynkiem stoją jego eksponaty – kilka samolotów oraz rakiet lotniczych. Bogate zbiory tego muzeum dokumentują zbrodnie izraelskich żołnierzy w czasie wygranych przez Izrael wojen i prezentują głównie świetne zwycięstwa nad armią izraelską w czasie wojny Jom Kippur, powszechnie (wyjawszy przekonanych o swym zwycięstwie Egipcjan) uważanej za nierozstrzygniętą. Kolosalne wrażenie robi grupa przedstawiająca cały egipski sztab z Anwarem Sadatem na czele, dumający nad mapami. W muzeum zwiedzamy tylko część dostępnych sal, większość jest jednak nieczynna. Eksponatów jest naprawdę masa. W jednym z długich korytarzy stoją popiersia wszystkich byłych rządzących Egiptem. Chyba są z bazaltu... Popiersia Arabów, na głowach których widnieją arabskie proste czapeczki z fontaziem, tylko ostatni zamiast czapeczki ma wyrzeźbiony turban. Kiedy tak na nich patrzę, to myślę sobie, że gdyby zrobić podobną salę w Polsce, byłyby w niej umieszczone popiersia królów w koronach, fakt, że im bliżej czasów współczesnych, to korony by zniknęły.

Czas opuścić teren Cytadeli i przejść kawałek piechotą do meczetu Sułtana Hassana. Jest to jeden z najpiękniejszych i najbardziej monumentalnych meczetów Kairu. Jego fundatorem był sułtan El Nasser Hassan, dziewiętnasty rządzący w Egipcie sułtan turecki i siódmy syn sułtana El Nassera Mohameda ibn Kalauna. Nawiasem mówiąc, żył on w ciężkich czasach, kiedy królowały wszelkie intrygi i spiski. Władca ten zdecydował o budowie swojego meczetu na placu przylegającym do Cytadeli Saladyna. Prace rozpoczęto w 1356 roku, a zakończono w 1363 pod kierunkiem Baszira Agi, jednego z następców Hassana. Meczet ten uważa się za arcydzieło architektury islamskiej. Zajmuje on powierzchnię siedmiu tysięcy dziewięciuset siedmiu metrów kwadratowych. Wejście ma trzydzieści siedem metrów i osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Przy świątyni znajduje się również madrasa, czyli szkoła teologiczna dla czterech obrządków muzułmańskich. Dziedziniec budowli jest niemal idealnym kwadratem o trzydziestodwumetrowej długości boku. Na każdej stronie usytuowano krużganek, wznoszący się wyżej niż reszta dziedzińca. Wszystkie one zostały zwieńczone sklepieniami o spiczastym ceglany wykończeniu oraz kamiennymi arkami.

Miłośnicy sztuki uważają, że arka największego jest prawdziwym cudem architektury. Ściany meczetu pokrywają bloki kolorowego kamienia i marmuru, sztukaterie i stiuki z wersami Al Fatihi (pierwszej, czyli „Otwierającej” sury Koranu) w piśmie kufickim. Jest tam

również mistrzowsko wykonana ambona, a mihrab spoczywa na czterech marmurowych wspornikach. Po prawej stronie minbaru z białego marmuru są drewniane pokryte brązem drzwi. Drzwi są po każdej stronie kibli. Dwoje drzwi prowadzi do grobowca. Pomieszczenie to ma dwadzieścia jeden metrów wysokości, przy czym od ósmego metra wzwyż wszystkie jego ściany pokrywa marmur.

W meczecie Hassana znowu odpoczywamy. Nie ma to jak siedzenie sobie chwilę w meczecie, w którym nie jest, aż tak gorąco, jak na zewnątrz.

Meczet sułtana Hassana posiada dwa minarety. Pierwszy, wznoszący się na osiemdziesiąt dwa metry, jest uważany za jeden z najwyższych minaretów w świecie Islamu i jest tylko dwa metry niższy od dwóch minaretów meczetu Mohameda Ali Paszy, zbudowanego całe pięćset lat później. Tuż obok meczetu Hassana znajduje się meczet Ar Rifai z równie wysokimi minaretami.

Został nam jeszcze jeden meczet na dziś, ten którego wczoraj nie zobaczyliśmy Al Azar. Podjeżdżamy taksówkami. Tym razem spotykamy się bez szukania. Musimy chwilę poczekać, bo znowu trwa modlitwa. W tym meczecie kobiety muszą założyć chusty na głowę, jeśli chcą wejść do środka. Wchodzimy do środka.

Al Azar to meczet zbudowany w 970 roku i będący częścią najważniejszej egipskiej uczelni i zarazem najśłynniejszego islamskiego uniwersytetu - Al Azar. Uniwersytet założony przy meczecie dla studiowania prawa koranicznego jest najstarszym w świecie. W murach uczelni znajduje się Brama Fryzjerów (golono tutaj studentom głowy), biblioteka z 60 tys. rękopisów, a także dziedziniec z krytą salą modlitewną. Meczet sam w sobie jest imponujący. Ostatnio został gruntownie odnowiony i teraz jak najbardziej pasuje do niego nazwa - Al Azar, co w języku arabskim znaczy „jaśniejący”. Cały jest wyłożony marmurowymi płytkami.

Tutaj również na chwilę przysiadamy. Zresztą na dworze panuje już niezły skwar. Siedzimy sobie pod jedną ze ścian. W tym meczecie jest wielu innych ludzi, którzy przyszli do tego miejsca, aby sobie odpocząć oraz... wyspać się. Obok nas leży dość ogromnych rozmiarów Arab i... chrapie wniebogłosy. Wygląda dość komicznie ze swym okrągłym niczym baryłka brzuchem. W innych częściach meczetu śpi dość sporo osób, choć niektórzy wypożyczają książki i w skupieniu je czytają. Przez główny plac meczetu praktycznie nie można przejść. Posadzka jest tak nagrzana, że pali w stopy. Najlepiej iść pod zadaszeniem, ale co niektórzy z nas idą przez plac m.in. Ewa z Rafałem. Współczuję im...

Z meczetu idziemy dalej. Dzisiaj zrobimy parę ładnych kilometrów. Kolejny cel to niezwykle Miasto Umarłych. To bardzo ciekawe miejsce, omijane jest z daleka przez turystów. Stary cmentarz, zamieszkały jest przez parę milionów ubogich muzułmanów. Jak można tam mieszkać? Zwykle każda rodzina ogradza murem niewielki kwartał z kilkoma grobami, czasem doprowadza prąd. Nagrobki służą za stoły i łóżka. Utrzymują się z przygodnych prac, zebraniń, sortowania śmieci. Wśród grobów wybudowano drogi, kursują autobusy, funkcjonują szkoły. Obcokrajowcy niemal tam nie zagląдают, gdyż Miasto Umarłych uchodzi za niezwykle niebezpieczne miejsce. Rzeczywiście - tubylcy są nieufni, spoglądają spode łba, wzbraniają wstępu do meczetów. Za dnia jest względnie bezpiecznie i można na własne oczy ujrzeć najbardziej niedostępne z kairskich osobliwości. Cmentarz nie znajduje się gdzieś na obrzeżach miasta, a bardzo blisko dzielnicy muzułmańskiej. Właściwie oddziela te dwa różne światy dość ruchliwa ulica. Chwila wahania i postanawiamy kawałek się przejść. Dziewczyny zakładają chustki na głowę. Lepiej dmuchać na zimne, jeśli to niebezpieczna dzielnica. Rzeczywiście spotykamy kwatery z nagrobkami. Teraz jest raczej pusto, bo większość ubogich mieszkańców „miasta” prawdopodobnie pracuje w centrum... a może i nie... Dochodzimy do jednego z niewielkich meczetów i postanawiamy zobaczyć go. Nie ma problemu, zostajemy wpuszczeni. Chwila w środku i wracamy pod Al Azar, skąd ruszamy na bazar. Jednak nie wszyscy. Paweł z Doktorą wracają do hotelu. Dzisiaj z kolei

Paweł czuje się niebardzo. Reszta rusza na zakupy. Każdy coś kupuje: szkatułki, papirusy, jakieś bluzki.

Zmęczeni wracamy do hotelu. Myjemy się i... idziemy na spacer nad Nil. Przedzieramy się przez ruchliwe ulice, na których trzeba prawie się rzucać pod koła nadjeżdżających samochodów, żeby w końcu przejść na drugą stronę. Arabowie jeżdżą niesamowicie niebezpiecznie. Nawet wtedy, gdy jechaliśmy przez środkowy Egipt, fakt że drogi były puste, ale kierowcy taksówek ścinali wszystkie zakręty wjeżdżając na pas ruchu przeciwnego...

W drodze powrotnej znad Nilu odwiedzamy sklep z pamiątkami i... sklep z alkoholem. Kupujemy kilka różnych butelek, a właściwie kupuje je Paweł, bo nam kobietom Arabowie nie sprzedadzą. Procedura zatem jest taka. Kręcimy się wszyscy po sklepie, ściągamy z półek butelki i układamy je na ladzie. Potem dajemy Pawłowi pieniądze on po kolei płaci za każdą osobę, Arab pakuje do reklamówki butelki, podaje je Pawłowi, a ten z kolei... oddaje je nam. I cała procedura odbywa się ponownie dla następnej dziewczyny. Kiedy zakupy są gotowe wracamy do hotelu.

Wieczorem rozpoczyna się pokojowa imprezka. Ewa wpada na pomysł wypicia potrójnej dawki wódki, co wszystkim uderza do głowy. Każdy ma niezły humor i wypiłby jeszcze... Ewa robi każdemu z osobna fotkę w momencie wypijania czystego alkoholu. Ale będziemy mieli miny. Koło północy czas skończyć te wesołości i iść spać.

6 sierpień 2003

Wstajemy koło ósmej rano. Bardzo powoli pakujemy się i zostawiamy nasze plecaki w recepcji. Najpierw jedziemy na dworzec autobusowy kupić bilety do Suez. Okazuje się oczywiście, że sprzedawane są na pół godziny przed odjazdem. Nie ma jednak z nimi problemu, bo autobusy odjeżdżają co pół godziny. No więc w takim razie wszystko w porządku nie mamy się czym martwić. Jedziemy więc wypełnionym po brzegi metrem do dzielnicy koptyjskiej. Metro to bardzo intrygująca sprawa w Kairze. Na stacjach stoi bardzo krótko. Jeszcze nie wszyscy wysiadają, nie mówiąc o wsiadających, a już brzmi sygnał zamykanych drzwi. Suma sumarum wsiadający wręcz wskakują do wagonów przy zamykających się drzwiach, zostając nierzadko nimi przykleśczeni.

Dzielnica koptyjska znajduje się na południu Kairu i jest unikalną chrześcijańską enklawą w mieście. Po wyjściu ze stacji metra Mari Girgis od razu zobaczymy kościoły. Kościół koptyjski jest zdecydowanie największym spośród wszystkich chrześcijańskich w Egipcie. Wywodzi się od apostoła Marka. Stanowi najstarszą część miasta, położoną na ruinach potężnej rzymskiej twierdzy - Babilonu i arabskiego obozu Al-Fustat.

Najsłynniejszą budowlą jest kościół Najświętszej Marii Panny, tzw. „zawieszony”. Zbudowano go niezwykle oryginalnie - na wysokości pierwszego piętra nad szeroką fosą, widoczną przez szpary w podłodze - stąd właśnie jego nazwa. Nie wiem, gdzie te szpary. My szukaliśmy, ale nic takiego nie znaleźliśmy. Na zewnątrz może nie jest nazbyt oryginalny (fasada pochodzi z XVIII wieku), ale na wyposażenie składają się sprzęty nierzadko z IV wieku. Jest główną świątynią Koptów. W niej odprawiają nabożeństwa papieże tego kościoła. Podobizny papieży zdobią ściany przedsionka - są wszyscy aż do aktualnego Szenudy.

Ciekawymi kościołami są również: kościół św. Barbary liczący 1000 lat i kościół Abu Sarga, mający również 1000 lat. W tym drugim znajduje się krypta, w której podobno ostatnią noc przed ucieczką z Egiptu spędziła Święta Rodzina. Krypta jest aktualnie zalana i zwiedzać jej nie można.

Nawet w chrześcijańskiej dzielnicy nie może zabraknąć meczetu. Jest nim najstarszy w Kairze pochodzący z 641 roku meczet Amr ibn al As. Ufundował go jeden z wodzów Mahometa, zdobywca Egiptu nazywający się dokładnie tak jak meczet. Muzułmańska

legenda głosi, że kolumny przy mihrabie (wnęka w ścianie skierowanej na Mekkę; w jej kierunku modlą się muzułmanie) przyfrunęły aż z Medyny.

W dzielnicy tej zwiedzamy jeszcze synagogę i koptyjski cmentarz z grobowcami oraz małym kościołkiem, w którym znajduje się studnia ze źródłem.

Metrem ponownie wracamy do hotelu, po drodze zjadając „obiad”, na którego składają się dwie bułki z kurczakiem. Potem jeszcze wypijamy sok pomarańczowy i bananowy. W hotelu bierzemy prysznic, czym skutecznie blokujemy innym dostęp do łazienek. Teraz czeka nas przejazd na dworzec autobusowy. Tym razem już nie metrem, bo nie mamy rady z plecakami. Łapiemy więc taksówkę. Mamy szczęście, bo podjeżdża duża i możemy zabrać się wszyscy razem.

Przy kasie biletowej kręci się okazały tłumek. W kupnie biletów pomaga nam młody Arab znający angielski. Autobus odjeżdża za 20 minut. Do autobusu prowadzi nas jego kierowca, mamy więc pewność, że wsiadamy do odpowiedniego. Zanim jednak odjeżdżamy wybuchła mała kłótnia, gdyż za pomoc we wrzuceniu plecaków do bagażnika jakiś Arab chce pieniędzy. Kiedy dajemy mu funta jest niezadowolony. W ogóle powinien się cieszyć, że coś mu daliśmy. Teraz przez okno patrzymy, czy czasem ze złości nie postanowi wyrzucić naszych plecaków z bagażnika.

Po dwóch godzinach jazdy jesteśmy w Suezie, a raczej na jego dalekich przedmieściach, gdzie położony jest dworzec autobusowy. Szukamy taksówki. Jest ich tu sporo, ale oczywiście chcą z nas zedrzeć za przejazd. W końcu dopada nas kierowca busa. Negocjujemy cenę i możemy jechać. Prowadzi nas do swojego busa, po czym wszystkim siedzącym w nim Arabom nakazuje opuszczenie pojazdu. Hmm, no to jednak musi na nas sporo zarobić, jeśli robi taki numer.

Zawozi nas pod tani hotel Sina. Mamy pokoje z klimatyzacją. Nastawiamy na 26 stopni i robi się przyjemnie chłodno... no tak jeśli poza pokojem jest z 10 stopni więcej. Od razu postanawiamy zobaczyć sueski port. Wychodzimy na główną ulicę miasta i... zatrzymuje się ten sam bus, co nas przywiózł do hotelu. Tym razem już wiemy ile mamy zapłacić, bo dowiedzieliśmy się w recepcji. Kierowca tylko się śmieje, ale na cenę przystaje. Zawozi nas na samo nabrzeże. Przed nami rozciąga się widok na Zatokę Sueską oraz Kanał Sueski, po którego drugiej stronie widać już Synaj, a tym samym i Azję.

Kanał Sueski w północno-wschodnim Egipcie łączy Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. Ma długość 161 km i szerokość 160-200 m. W południowej części Kanał Sueski przebiega przez jeziora: At-Timsah, Wielkie Jezioro Gorzkie i Małe Jezioro Gorzkie. Czas przepływu wynosi około 15 godzin. Kanał Sueski ma ogromne znaczenie międzynarodowe, skracając drogę z Europy do Azji o ok. 40%.

W 1854 roku francuski inżynier F. M. Lesseps uzyskał koncesję na budowę kanału łączącego Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. Dzięki jego staraniom w roku 1858 utworzono spółkę Towarzystwo Kanału Sueskiego (z przewagą kapitału francuskiego), rok później rozpoczęto prace konstrukcyjne.

Oficjalne otwarcie Kanału nastąpiło 17 listopada 1869. Jako obiekt o kluczowym znaczeniu gospodarczym i strategicznym, Kanał Sueski stał się przedmiotem zainteresowania Brytyjczyków, którzy w 1875 roku odkupili egipskie akcje, uzyskując decydujący głos w jego sprawach. W roku 1882 wojsko brytyjskie obsadziło strefę Kanału wywołując sprzeciw innych państw europejskich.

29 października 1888 w Stambule podpisano konwencję gwarantującą międzynarodowy charakter Kanału Sueskiego. Po ogłoszeniu niepodległości Egiptu (1922), status Kanału Sueskiego nie uległ zmianie, a podpisana w 1936 umowa brytyjsko-egipska nadal gwarantowała Wielkiej Brytanii prawo do baz wojskowych w jego strefie.

Żeglugę na Kanale dwukrotnie zamykano z powodu konfliktów w regionie: w lipcu 1956, w wyniku tzw. kryzysu sueskiego, i w czerwcu 1967, z powodu wojny arabsko-

izraelskiej, tzw. wojny sześciodniowej (5-11 VI 1967). Kanał Sueski został wówczas zablokowany, a jego wschodni brzeg znalazł się pod okupacją izraelską.

Podobno w ciągu doby przez Kanał Sueski przepływa 90 statków, jak na razie nie widzimy ani jednego. Najbardziej zawiedzony jest Paweł, który czekał na płynące statki. Robimy więc sobie pamiątkowe zdjęcie pod tablicą oznaczającą 160,8 km kanału. Wracamy do hotelu z myślą powrócenia na nabrzeże następnego dnia z samego rana. Paweł mówi, że jutro nie ruszy się stąd póki coś nie przyplynie. Po powrocie idziemy do rybnej restauracji. Jej właściciel, kiedy zasiadamy do stołu przynosi tacę, prezentując świeże „owoce morza”, które można u niego zamówić na kolację. Zamówiona zostaje rybka – tuńczyk. Ja oczywiście nie jem. Po skończonej rybce, moja kolej - idę sobie na szarmę... a potem już do hotelu i spać...

7 sierpień 2003

Wstajemy i o 9 jedziemy ponownie do portu, zobaczyć czy tym razem będą płynąć jakieś statki. Paweł oczywiście mówi, że się stamtąd nie ruszy, zanim nie sfotografuje jakiegoś tankowca. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, do kanału z Zatoki Sueskiej właśnie wpływa duży tankowiec, a w oddali widzimy następny czekający już na swoją kolej. Po dwóch tankowcach płyną dwa kontenerowce. Jeden większy od drugiego. Przy kanale siedzimy godzinę czasu. Przyglądamy się jak statki wprowadzane są z zatoki do kanału przy pomocy małego statku pilota. Wracamy do centrum, gdzie zjadamy smaczne lody gałkowe, szarmę, falafle i jedziemy z plecakami na dworzec autobusowy, gdzie po niespełna godzinie tj. o 14 jedziemy do Św. Katarzyny na Synaju. Klimatyzacja w autobusie działa, więc nie czuć upału. Zastanawiamy się, jak przejedziemy Kanał Sueski. Czy jest most, czy może jakiś tunel. Po pewnym czasie wszystko się wyjaśnia. Około 12 km od Suez znajduje się tunel Ahmeda Handiego, którym można dostać się na zachodnie wybrzeże Półwyspu Synaj.

Przejeżdżamy na drugą stronę. Teraz jesteśmy w Azji, gdyż z geograficznego punktu półwysep Synaj należy do Azji. Krajobraz na Synaju praktycznie od razu zmienia się w pustynię, chociaż z jednej strony mamy przez długi czas błękitną Zatokę Sueską. Na zatoce co jakiś czas widać platformy wiertnicze. Wśród pustynnego krajobrazu wylania się coraz więcej i więcej gór. W końcu mijamy zieloną oazę. Przypomina mi ona bardzo dolinę rzeki Todry z Maroka. Dookoła skały i ogromna ilość palm daktylowych. Autobus, co jakiś czas zatrzymuje się wysadzając kolejnych podróżnych. Czasem ludzie wysiadają w szczerym pustkowiu. Nie mam pojęcia, gdzie może być ich dom. Co pewien czas pojawiają się Beduini jadący na wielbłądach. Po drodze mijamy punkty kontrolne o zaostrej kontroli. Na każdym posterunku sprawdzają nam paszporty, gdyż nie każdy może poruszać się swobodnie po Synaju.

Po czterech godzinach jazdy dojeżdżamy do wsi Święta Katarzyna. Pierwsze wrażenie jest niezwykle. Wieś, jak na arabskie warunki jest ładna. Porządnie zrobione są chodniki, trawniki, część budynków. Wygląda to jak mały, ale dość nietypowy kurort. Ciekawe ile trzeba będzie nam zapłacić za nocleg. Wsiadamy i od razu dopada nas Beduin. Wcześniej specjalnie zapłacił parę funtów kierowcy, żeby dowiózł nas do tego miejsca, gdzie mógłby nas zabrać do swojego Beduin campu, a nie żebyśmy trafili do konkurencji. Oferuje nam tani nocleg, mówiąc, że jego camp to miejsce z naszych marzeń. Zabiera nas i jednego Koreańczyka, który również jechał tym samym autobusem, co my.

Po przyjeździe odkrywam kolejną katastrofę w moim plecaku. Znowu wydarzyła mi się powódź i parę rzeczy powylewało się. Wszystko przez to, że znaleźliśmy się na pewnej wysokości. Ciśnienie spadło i butelki pokurczyły się...

Na campie dostajemy pokój z materacami. W ogóle sam camp bardzo mi się podoba. Dość surowy, ale zarazem bardzo atrakcyjny. Jest tu naprawdę bardzo czysta łazienka. Obok, za odgradzającym murkiem znajdują się domki wsi. Nie są to lepianki, albo szałas, jak w

większości odwiedzonych przez nas miejsc w Egipcie. Są to bardzo solidne sześcianiki. Co ciekawe... wszystkie budynki we wsi zbudowane są z materiału skalnego, który jest stąd. Dlatego też budynki mają praktycznie taki sam kolor, co okoliczne góry – czerwono - brązowy. Bardzo ładnie to wygląda, poza tym jest bardzo czysto. Przy wielu domkach stoją wielbłądy.

Kiedy cała nasza paczka kręci się po campie, ja z Pawłem niczym dwa chochliki podrzucamy każdemu do plecaczków po dwa cukierki. Zobaczymy, jak się jutro będą dziwić. Nie mamy zamiaru przyznawać się, że to my. Zresztą sobie też podrzucamy.

Właściciel o imieniu Salah jest bardzo gadatliwą osobą. Pomimo swojego wyglądu, wskazującego wiek na koło 40, ma zaledwie 27 lat. Rozkłada na małym podwórku maty, przynosi herbatę, każe siadać i rozmawiać z nim. Proponuje nam ugotowanie kolacji. Po długich oporach zgadzamy się. Trwa to bardzo długo. Zapada ciemność, kiedy zabieramy się za jedzenie. Wieczór umiła nam odbijający się od gór i rozchodzący długim echem głos tutejszego muezina. Na kolację dostajemy bardzo smaczną potrawę – koftę (sama nie wiem, co to dokładnie jest), pomijając drobny incydent, jak to Aśka w swojej „kielbasce” trafia na dwa kamyczki. Ewa twierdzi, że widziała jak jeden z przygotowywanych przez Salaha kawałków mięsa upadł na ziemię, wysypaną drobnymi kamyczkami. Podniósł ten kawałek i położył, jak gdyby nic z powrotem na grilla. Prawdopodobnie wtedy owe kamyczki przyczepiły się do mięsa. Na potrawę oprócz mięsa, czyli kofty, składa się również makaron, sałatka oraz herbata z miętą. Najadamy się po uszy.

Po kolacji czeka nas kolejna pogawędka z Salahem, Koreańczykiem i... Australijczykiem. Wygląda jak jeden z członków Budki Suflera – z tym swoim rozwianym kitkiem. Poza tym bardzo ciężko go zrozumieć, gdyż mówi z takim dziwnym australijskim akcentem. Opowiada różne śmieszne historyjki, choć czasem prawdę mówiąc niewiele rozumiem, co on powiedział. Reszta zresztą też, ale również wybucha śmiechem. Jest niezłym komediantem. Niezle parodiuje akcent Brytyjczyków lub Amerykanów. Kiedy tak sobie rozmawiamy ze wsi dobiegają nas odgłosy wesela. Znowu ten charakterystyczny dźwięk wydawany przez kobiety...

Salah próbuje nauczyć się naszych imion... i całkiem dobrze mu idzie, tylko przy Pawle tworzy coś nowego – Bawo! Tak właśnie nazywa Pawła. Australijczyk mówi Salahowi, żeby wymawiał tak jak w słowie „swimming pool”. Wszyscy się śmieją.

Paweł rozmawia z Salahem i sprawdza, czy dwa słowa arabskie podobne są do polskich. Okazuje się, że tak. To „fasolja” i... „dziura”. Z kolei zupa po arabsku to... siorba.

Nasz gospodarz jest niezłym gawędziarzem, opowiada nam arabską bajkę... którą nie tak dawno czytałam w zbiorze hiszpańskich bajek. Opowiada ona o ojcu i synu, którzy wraz ze swym osiołkiem poszli na bazar. Szli drogą pieszo, prowadząc osła bez towaru. Spotkali grupę ludzi, którzy na ich widok bardzo dziwili się, że ci dwaj idą piechotą, jeśli ich osioł nie jest załadowany. Słyszac tę rozmowę syn i ojciec stwierdzili, że rzeczywiście mają rację. Syn wsiadł na osła, a ojciec dalej szedł piechotą. Po pewnym czasie znowu spotkali grupę ludzi, która na ich widok zaczęła się dziwić, że to nie jest dobrze, że stary ojciec idzie piechotą, a młody jedzie na osle. Ojciec i syn znowu stwierdzili, że mają rację. Stary Arab wsiadł na osła i dalej jechali wraz z synem. Kiedy tak jechali dalej ponownie spotkali ludzi, którzy ubolewali nad marnym losem osła, że on taki chudy, a jadą na nim syn z ojcem... Morał z hiszpańskiej bajki był taki, że cokolwiek zrobi człowiek w swoim życiu, to nie będzie wydawało się słuszne, ani nie będzie satysfakcjonowało wszystkich ludzi dookoła. Z kolei nasz Salah chyba nie to miał na myśli, a raczej właśnie ten marny los wykorzystywanego do granic możliwości egipskiego osła.

Salah po historii o osle wspomina o swojej nagrodzie 5 tys. funtów, którą wygrał podczas wyścigu na swoim wielbłądzie, następnego roku zajął drugie miejsce.

Kiedy wybija północ, czas iść spać. Postanawiamy wyciągnąć materace z pomieszczenia i spać pod gwiazdami. Tutaj przynajmniej jest rześkie, świeże powietrze.

8 sierpień 2003

Śpimy do 9 z kawałkiem. Nocą komary tną, jak diabli. Paweł co jakiś czas psika płynem antykomarowym, ale to na niewiele się zdaje. W nocy panuje przyjemny chłód, bo wioska położona jest na około 1700m n.p.m.

Wcześniej rano z naszego legowiska pod murkiem przenosimy się na drugą stronę placzyku, bo słońce zaczęło świecić na nas i robi nam się ciut za ciepło. W kolejnym miejscu znowu zasypiamy. Śpię i czuję, jak coraz bardziej robi mi się ciepło w stopy. Jednak i z tego drugiego miejsca po pewnym czasie musimy zrezygnować, bo słońce dociera i tu, więc wstajemy.

Po śniadaniu piechotą udajemy się do klasztoru Świętej Katarzyny, który według naszego gospodarza jest oddalony od campu jakieś 20 minut, a my idziemy... 50!!! O tej porze żar z nieba leje się nie do wyobrażenia. Docieramy do klasztoru. Jest bardzo stary - liczy sobie bez mała 1700 lat. Gospodarzą w nim mnisi greckiego kościoła ortodoksyjnego. Zbudowano go w miejscu, w którym Mojżesz ujrzał krzak gorejący. Większość klasztoru nie jest dostępna. Można jedynie zobaczyć miejsce, w którym pokazał się Gorejący Krzew (rośnie na nim krzak, który podobno jest szczepem tego, który widział Mojżesz) i stary kościół. W kościele najciekawsze są ikony. Jest ich kilkadziesiąt - maleńka część najslawniejszej na świecie kolekcji liczącej 6000 sztuk. Niestety - te najciekawsze są skrzętnie przez mnichów ukrywane przed wzrokiem wścibskich turystów. Żal, bo podobno są wśród nich takie, które namalował św. Mateusz. Bardzo bogata jest także biblioteka zawierająca m.in. list żelazny wystawiony dla klasztoru przez Mahometa. Jest to zapewne falsyfikat, gdyż za życia Mahometa jego wojska niemal nie wyściubiły nosa z Półwyspu Arabskiego.

Od klasztoru prowadzi ścieżka na szczyt Góry Mojżesza – 2 285m. n.p.m. Tam właśnie modlił się Mojżesz. Na górę wejdziemy popołudniu.

Wracamy na camp, przy którym od samego rana ryczą wielbłądy, na grzbiecy których pakowane są jakieś tobołki miejscowej ludności.

Dzisiaj od samego rana wszyscy w plecaczkach znajdują schowane przez Pawła i mnie cukierki. Oczywiście nikt nie chce się do tego przyznać. Trwają więc zaciekle dywagacje, kto mógł je podrzucić i kiedy. Każdy bawi się w detektywa i próbuje odgadnąć sprawcę tej niespodzianki. Jest wesoło. Z tego, co słyszę tak zapętlili się w dociekaniu, że będzie im trudno określić sprawcę. Tym bardziej, że nawet nie wiedzą kiedy to się stało. Doktora twierdzi, że musiało to być dzisiaj rano, bo na pewno wieczorem ich jeszcze nie było. Hihi, akurat. Oczywiście, że były, przecież trafiły tam wczorajszego popołudnia.

Dzisiaj wypada piątek, czyli najważniejszy dla muzułmanina dzień tygodnia, toteż wracając z klasztoru mijamy meczet, z którego akurat zaczął wysypywać się spory tłum Beduinów. Skręcamy do restauracji na obiad, aby wzmocnić się przed ruszeniem na górę Synaj. Jemy bardzo tłusty, aczkolwiek smaczny rosołek, potem tradycyjnie już sałatka pomidorowo-ogórkowa, a także kurczak z ryżem i dodatkiem ziemniaków.

Do 16 siedzimy na campie, gdzie zostawiamy plecaki w przechowalni Salaha, a zabieramy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Potem taksówka zawozi nas ponownie pod klasztor, skąd zaczynamy wchodzić na szczyt. Na sam szczyt prowadzi kilka tras. Jedną z nich jest trasą pokutną, bo składa się z ponad trzech tysięcy stopni, które nierzadko mają po metr wysokości. Ta trasa nie jest dla mnie. Po niej nie miałabym już kolana. Wybieramy więc ścieżkę wielbłądzą. Jej nazwa pochodzi od tego, że na szczyt po tej trasie wchodzi wielbłądy. Mniej wytrzymałym turystom, miejscowi Arabowie za opłatą parudziesięciu funtów proponują wjazd na grzbiecie wielbłąda.

Wchodzimy sami, bo turyści wchodzą przede wszystkim w środku nocy, aby wejść na szczyt przed świtem i podziwiać wschód słońca. Postanawiamy zobaczyć również zachód. Mija godzina 16, upał dalej niesamowity, a my drapiemy się w górę, pijąc wodę bez umiaru. Co jakiś czas mijamy budki z wodą i innymi napojami. Za 1,5 litra wody płaci się tutaj 6-7 funtów, gdy normalnie cena wynosi 1,5 funta. Ostatni fragment podejścia jest najgorszy dla mojego kolana. Muszę pokonać około 700 skalnych stopni. Wydaje mi się, że wchodzę w nieskończoność, ale w końcu po ponad trzech godzinach docieram na szczyt. Widok na otaczające góry jest cudowny. Siadamy wszyscy na ogromnym głazie, na którym jemy kolację i czekamy na zachód słońca. Jest bardzo ładny. Robimy zdjęcia. Po czym jako jedyni turyści (gdzie te tłumy???) na szczycie wybieramy sobie najlepsze miejsce do rozbicia legowiska na noc, a tym samym najlepsze miejsce do oglądania jutrzejszego wschodu słońca.

O 20:30 tuż po obowiązkowym myciu zębów zarządzonym przez Doktorę Bakterię, leżymy w swoich śpiworkach i na karimatach mimo usilnych prób dwóch Arabów, którzy wypożyczają tutaj materace i koce. Jest ciemno, ponad nami rozgwieżdżone niebo. Poza tym ani jednego światełka. Nie mamy co robić więc gramy w wyrazy. Po czym zasypiamy. Jednak koło 23 budzimy się, bo jakoś zrobiło się dość chłodno, a wiatr wieje na potęgę. Słychać Ewę, która nagle stwierdza: „ktoś mówił, że tutaj nie będzie wiało”. No właśnie wybraliśmy miejsce przy ścianie małego kościółka, ale jak widać poniżej wiatr musi się odbijać i tworzyć wietrzny kocioł. Po czym uderza w nas ze zdwojoną siłą. Próbuje więc, jak najszczelniej wcisnąć się w śpiwory. Nie śpimy zbyt długo, bo w pewnym momencie budzą nas światła latarek, to zaczynają schodzić się na szczyt inni turyści. Robią dość znaczny hałas i na dodatek świecą nam po oczach. Już nie jest tak sielankowo. Nasz sen przez całą noc przerywany jest odgłosami nowych fal turystów, którzy nadciągają i szukają miejsca na nocleg. Nawet wciskają się obok nas, więc zostajemy ściśnięci niczym szprotki w puszcze. A było tak przyjemnie cicho...

9 sierpień 2003

O 6 rano przy naszej „łóży” honorowej zebrał się pokaźny tłum ludzi. Chyba nie są zadowoleni z tego, że to my, a nie oni mamy to miejsce, tym bardziej, że nam ani w głowie wstawać. Z każdego miejsca słychać inny język. Kiedy jest już jasno widać tłum turystów. Każde miejsce na szczycie wykorzystane jest przez ludzi. Niebo dopiero nabiera lekkich kolorowych barw, a rzesze ludzi i tak już pobłyskują fleszami robiąc zdjęcia. Co jakiś czas wyłaniamy się ze śpiworów, aby ogarnąć, to co się dzieje na szczycie oraz to czy słońce pojawiło się już na horyzoncie. Tłum cały czas gęstnieje, bo na szczyt dochodzą, coraz to nowe osoby. W końcu zza chmur wyłania się słońce. W sumie nic specjalnego. Wczorajszy zachód był sto razy lepszy. Zaraz po wschodzie słońca tłum turystów rusza w dół. Postanawiamy przeczekać tę pielgrzymkę i najpierw zjeść śniadanie. A potem wracamy w dół, mijając po drodze całe karawany turystów jadących na biednych wielbłądach.

Znowu stajemy pod klasztorem i stąd taksówką wracamy na nasz camp, gdzie w cieniu leżymy przez dwie godziny czekając na autobus, który zawiezie nas do Dahabu. Nadwyraz upierdliwie uczepliły się nas muchy. Wcale nie ma się co dziwić, bo jesteśmy nie umyjni, gdyż nasz gospodarz za to dodatkowe mycie zażyczył sobie 5 funtów za osobę pod pretekstem bardzo drogiej wody. Postanawiamy więc darować sobie mycie i pozostawić je już na Dahab.

Idziemy na dworzec znajdujący się w samym centrum osady. Tutaj jeszcze przed odjazdem wypijamy kufelek soku z trzciny cukrowej. Bardzo smakowity. I jedziemy. W autobusie siedzi niewiele osób – zaledwie kilkanaście – na dodatek sami zagraniczni turyści. Po drodze ponownie służby kontrolne sprawdzają nam paszporty. Dosiada się także dwóch innych turystów, których po pewnej chwili Arab zajmujący się sprzedażą i kontrolą biletów,

postanawia wysadzić na środku pustyni. Wybucho między nimi ostra kłótnia. Turysta nie chce zapłacić za bilet, gdyż wcześniej został zatrzymany przez policję na posterunku i wysadzony z innego autobusu. Teraz ponownie ma kupić nowy bilet. Trochę to trwa, ale w końcu płacą i jedziemy dalej.

Jazda jest dość niebezpieczna, bo kierowca prowadzi autobus jadąc od krawężnika do krawężnika. Niczym pijany. Dookoła pustynny krajobraz i góry. Nasz kontroler - dziwny człowiek – cały czas wałęsa się po autobusie, co chwilę zmieniając miejsce siedzenia. Poza tym w czasie drogi dwa razy autobus zatrzymuje się po czym jedzie tyłem!!! Następnie zatrzymuje się, a kontroler wyskakuje, pędzi gdzieś na pobocze i przynosi metalowe części od kół, które walają się przy drodze. Zwariowany autobus... dobrze, że to tylko dwie godziny jazdy.

Docieramy do miejscowości Dahab. Nazwa miasta w języku arabskim oznacza złoto. Jako miejsce turystyczne został odkryty na szczęście przez zwykłych podróżników, toteż zaczął się rozwijać pod ich zapotrzebowania i ma zupełnie inny charakter niż olbrzymie bezosobowe ośrodki turystyczne jak np. Sharm el Sheik czy Hurghada.

Dahab, pierwotnie beduińska wioska, zachował nadal swój egzotyczny charakter: piaszczyste wybrzeże zatoki, obrzeżone powyginanymi palmami, na tle żółto-czerwonych gór. Pomiędzy palmami przykucnęły niskie białe budynki hotelików, barwne sklepiki czy restauracje. Na plaży rozpościerają się arabskie restauracje w „leżącym stylu”, wyścielone dywanami i poduszkami. Tu można spędzić wolny czas relaksując się cały dzień lub po całodziennym nurkowaniu odpoczywać wygodnie w gronie przyjaciół przy kieliszku i fajce wodnej. Typowy arabski charakter miasteczka dopełniają Beduini oraz ich wielbłądy.

Wybrzeże Zatoki Akaby oferuje świetne warunki do nurkowania i właśnie w okolicach Dahabu znajdują się takie znane miejsca nurkowe jak Blue Hole, Canyon czy Islands.

Na dworcu bierzemy busa, który wiezie nas do centrum miejscowości, gdzie kwaterujemy się w hotelu Star of Sinai. Jak napisane jest w przewodniku warunki nienajlepsze (dla nas super – fajne pokoje, łazienka no i klimatyzacja), ale bardzo przyjemny i pomocny właściciel hotelu. Jedyne zastrzeżenie budzi w nas woda płynąca z kranu, bo jest po prostu... słona. Nie można sobie zrobić herbaty. Trzeba kupić wodę mineralną i ją gotować. Myjemy się w tej słonawej wodzie i idziemy na obiad. Po drugiej stronie małej uliczki, na której znajduje się nasz hotel, jest również mała knajpka. Zamawiam smaczkę – mieszankę różnych mięs z ryżem i sałatką. Nawet dostajemy specjalną cenę od właściciela, jednak gdy przychodzi do płacenia próbuje nas okantować. Hihi, ale jak tu można okantować głównego księgowego wyprawy???

Po obiedzie chwila przerwy i urządzamy sobie spacer po okolicznych sklepikach, których jest tu cała masa. Dzisiaj tylko oglądamy, pomimo tego, że sprzedawcy próbują nas już teraz skusić swoim towarem do zakupów. Pamiętajki kupować będziemy w przeddzień wyjazdu.

Potem wskakujemy w stroje kąpielowe i ruszamy w stronę plaży. Jest fantastycznie ciepło. Po drugiej stronie zatoki, a jesteśmy nad Zatoką Akabą widać brzegi Arabii Saudyjskiej. Hmm z kąpania praktycznie nic nam nie wychodzi, bo podłoże jest bardzo kamieniste, a dalej rozpoczyna się rafa koralowa. Część z nas udaje się właśnie dalej i nawet widzi tę rafę wraz z pływającymi tam kolorowymi rybkami. Mnie ta plaża nie bawi, chodzić w wodzie się nie da. Postanawiam więc wracać po tych kamieniach na brzeg. To łożenie boso po zatoce kończy się dla mnie nieciekawie, bo kiedy jestem już na brzegu okazuje się, że mam poranione stopy. Najgorzej wygląda moja pięta, w której widać dość znacznych rozmiarów dziurę, którą mógł mi zrobić jakiś kawałek szkła. Leci krew... Nie wygląda to za dobrze.

Na plaży wszędzie leży mnóstwo różnych muszelek – od Doktory dostaję taką kręconą, ale nagle rzucam wszystkie na ziemię, bo spostrzegam, że w tej od Ani coś mi zaczęło wypełzywać. Przyglądam się, a to sporych rozmiarów biały krab. Tak więc nie mogę zabrać ze sobą tej muszelki, a krab szybciotko po wypuszczeniu, znika ze swym domkiem gdzieś na plaży. Jutro przyjdziemy tu znowu, ale już nie będziemy wchodzić bosy do wody.

Wieczór spędzamy siedząc na balkoniku i jedząc owoce.

10 sierpień 2003

Dzisiaj dzień wolny. Śpimy więc długo, a potem idziemy na śniadanko naprzeciw hotelu. Zamawiamy omlety warzywne i ku naszemu zdziwieniu dostajemy cieniutkie omlety, a cała „warzywność” śniadania polega na tym, że na talerzu obok omleta łąduje pięć plasterków pomidorów i ogórków, ułożonych na przemian. Mimo wszystko śniadanie mi smakuje. Dziadek - „właściciel” knajpy po śniadaniu przy płaceniu rachunku znowu próbuje nas trochę oskubać, ale i tym razem nie udaje mu się ten manewr.

Po śniadaniu idziemy na plażę i kiedy dochodzimy do niej jesteśmy bardzo zdziwieni, bo... morze zniknęło!!! Woda znajduje się dużo dalej od brzegu. Okazuje się, że trafiliśmy właśnie na odpływ. Musimy więc znaleźć inne miejsce do pływania, bo tutaj niestety nie da się. Jednak teraz kiedy morze odsłoniło swoje dno możemy zobaczyć, po czym wczoraj chodziliśmy na bosy. Już się nie dziwię, że moje stopy wyglądają, tak jak wyglądają. Cud, że tylko tak to się skończyło. Wszędzie wśród kamieni leżą kawałki szkła. Prócz tego wśród kamieni można znaleźć śliczne muszelki, ale trzeba uważać żeby czasem nie wziąć jakiejś z mieszkańcem. Jak się dobrze przyjrzeć to pomiędzy kamieniami pomykają małe kraby. Śmiesznie wyglądają kiedy tak uciekają bokiem.

Przechodzimy na pobliską plażę, aby w końcu się wykąpać. Hmm dzisiaj jest większy wiatr i fala. Wielką sztuką jest dostanie się za strefę tych dużych fal i nie zostać przewróconym. Przybój z wielkim hukiem przetacza kamienie na brzegu. Trzeba się przedrzeć do strefy bez kamieni, jeśli chce się choć trochę popływać. To pływanie i tak jest pojęciem względnym, bo fala co jakiś czas nadchodzi i trzeba podskakiwać, żeby woda nas nie zalała. Uff... w końcu przedzieram się przez fale. Ale jest fajnie, tylko woda strasznie słona. Jak wpadnie do oka lub gardła piecze jak diabli. Kiedy Doktora wychodzi z wody, akurat nadciąga fala i dopada ją w tej najgorszej strefie. Przewraca się i nim udaje jej się podnieść kolejna fala dopada ją. Gdy w końcu wychodzi z wody jest posiniaczona od kamieni, które wraz z falą ją atakowały.

Po kąpeli wracamy do pokoju, gdzie choć trochę zmywamy z siebie sól płynącą z prysznicznicą słoną wodą. Zabieramy się za robienie obiadu. Pora na własny obiad, czyli znana już potrawka z kuskusa, mielonki i warzyw.

Późnym popołudniem ponownie jesteśmy na plaży. Część się kąpie, a inni zbierają muszelki. Mam nadzieję, że nie zawierają niespodzianki w postaci kraba. Wieczorem udajemy się na spacer po nadmorskiej promenadzie, zaczepiani przez sprzedawców pamiątek oraz naganiaczy do restauracji na powietrzu. Wszędzie przed knajpkami na stolikach leżą świeże ryby: małe i duże, poza tym inne owoce morza typu krewetki, kalmary itp.

Późnym wieczorem dla „zdrowotności” aplikujemy sobie alkohol i idziemy spać. Jutro bardzo wcześnie wstajemy, gdyż wyruszamy do Nuweiby i Kolorowego Kanionu...

11 sierpień 2003

Pobudka przed świtem. Jest 5 rano, na dworze ciemno. Właściciel hotelu robi nam pobudkę. Pod hotelem czeka na nas taksówka, która zawiezie nas do Nuweiby. Kierowca całą noc spędził pod hotelem, śpiąc w taksówce. W czasie jazdy śpimy. Po godzinie z małym

okładem dojeżdżamy do tej miejscowości. Osada jeszcze śpi, pomimo tego, iż jest to bardzo turystyczna, a zarazem i droga miejscowość. Jak większość znanych egipskich kurortów, Nuweiba - w swobodnym tłumaczeniu „pieniące się, tryskające źródła”, dopiero niedawno została „odkryta” dla turystyki zorganizowanej, przede wszystkim ze względu na niespotykanej urody piaszczyste plaże i rafy koralowe. Ta młodzieńcza miejscowość wypoczynkowa, dawniej ważny port dla pielgrzymów podążających do Mekki, położona jest 85 kilometrów na północ od Dahabu i jest jedną z największych oaz w południowej części półwyspu Synaj. Nuweiba kusi charakterystyczną atmosferą orientu, licznymi egzotycznymi restauracjami i bazarami, a plażowe kafejki urządzone w oryginalnym beduińskim stylu z kolorowymi dywanami i poduszkami, z przepięknym widokiem na Morze Czerwone zapraszają na chwilę zadumy i wytchnienia.

Kierowca taksówki zatrzymuje się pod równie sennym, jak cała Nuweiba campem, i rozpoczyna poszukiwania kogoś kto ma się dalej nami zająć. Nad samym brzegiem znajduje szukanego Araba, który śpi w najlepsze na poduchach po parasolem z palmy. Całe wybrzeże, jak okiem sięgnąć usiane jest podobnymi „kwaterkami”. Okazuje się, że przyjechaliśmy za wcześnie. Zamówiony jeep będzie dopiero za godzinę. Siadamy przy jednym ze stolików i postanawiamy zjeść śniadanie. Morze w Nuweibie w porównaniu z Dahabem jest spokojne. Praktycznie żadnej fali, nie mówiąc już o wietrze. Dla zabicia czasu obserwujemy m.in. osiołka, który jako jedyny w tej miejscowości wykazuje jakiegokolwiek ożywienie. Spaceruje sobie bezpiecznie po osadzie, zaglądając ciekawie do każdej posesji, po czym ją opuszcza i idzie dalej.

Koło ósmej, przyjeżdża jeep i zabiera nas do Kolorowego Kanionu. Jedziemy zniszczoną drogą, a właściwie to nawet nie jest droga, a wyjeżdżony pas ziemi. Są takie wyboje, że mam wrażenie, iż od tych wstrząsów zaraz coś mi się w środku urwie. Koszmar. Wokół same góry i od czasu do czasu samotnie sterczące drzewa.

Po godzinie jazdy zatrzymujemy się nad wielką wyrwą w ziemi. To wyczekiwany przez nas kanion. Już nieważne, że gorąco, ani że bołą nas pośladki od ciągłego podskakiwania w samochodzie. Na spacer po kanionie zabiera nas młody chłopak. Samochód odjeżdża do punktu, w którym spotkamy się wychodząc z kanionu. Zachwyceni schodzimy małą krętą ścieżką na sam dół. Początkowo idziemy dość szeroką doliną. Pył i kurz dostaje się do ran w moich stopach. Plastry nie trzymają się wcale, mimo że Doktora przylepia mi ich na stopach całkiem pokaźną ilość. Nic z tego - odpadają. Idę więc przez kanion co chwilę pojękując, bo rany strasznie mnie pieką. Przy każdym kroku czuję ból.

Skalne ściany zaczynają stromieć i przybliżać się bardziej i bardziej do siebie. Skały są czerwone, żółte i w różnych odcieniach brązu, teraz już wiem skąd pochodzi nazwa kanionu. Jednak nie mam pojęcia w jaki sposób powstały te barwne esy floresy na skałach. Przeciskamy się gęsiego aż do momentu, gdzie nad wąskim skalnym przejściem, wciśnięty jest głaz narzutowy. Pod nim niewielki otwór. Musimy się przecisnąć. Problem w tym, że poniżej jest dosyć długi spadek. Młody Arab schodzi pierwszy. Będzie asekurował i jak by co, łapał. Jednak rolę głównego łapacza bierze na siebie Rafał. Jako ostatnia wciskam się pod kamień i zsuwam pod nim. Nogami wyczuwam pustkę. Ręce kurczowo trzymają się kamienia nad głową. Nie mogę się puścić mimo okrzyków pozostałych, w jaki sposób oprzeć stopy. Nie mogę, są tak obolałe, że nie jestem w stanie oprzeć ich o skały i przenieść na nie całego ciężaru ciała. W końcu mobilizuję się i przy pomocy Rafała łąduję kilka metrów niżej. Ciekawe, jak przez tę dziurę przeciskają się osoby o większych gabarytach. Chwila odpoczynku pod wiatą. Doklejam jeszcze kilka plastrów. Mam już chyba najbardziej zalepione stopy, jakie świat widział. Wdrapujemy się stromą ścieżką do wyjścia z kanionu. Po drodze, pod kolejną wiatą jest knajpka, pod którą siedzą Beduini. Stoi tutaj nasz jeep. Wsiadamy i znowu jedziemy wertepami. Od czasu do czasu pojawiają się dzikie wielbłądy. Trasa przejazdu prowadzi głównie „ścieżką” pomiędzy kolczastymi siatkami, na których co

jakiś czas pojawia się tabliczka, że otaczający teren jest... zaminowany. Dlaczego to wszystko zaminowane, choć od ostatniej wojny egipsko-izraelskiej minęło ponad 30 lat? Bo zawsze może być nowa wojna. Na granicy wciąż stoją posterunki. Zresztą na Synaju kontrole na posterunkach są bardziej szczegółowe, dokładnie sprawdzają nam paszporty, a na takie wyjazdy, jak dzisiejszy, kierowca musi mieć pozwolenie, a turyści zgłoszeni policji.

Okazuje się, że wracamy do punktu wyjścia, pod camp, mimo wcześniejszych umów w hotelu, że zobaczymy cztery miejsca. Nic nie daje rozmowa z kierowcą i właścicielem campu. Koniec wycieczki. Jest dopiero 12:30, więc postanawiamy wracać do Dahabu. Jednak po naszej taksówce ani śladu. Właściciel campu mówi, że przyjedzie po nas popołudniu. Co to znaczy popołudniu? Która to godzina? Każą nam czekać. Siadamy więc na poduchach pod parasolami. Jest bardzo gorąco, brak choćby najmniejszego podmuchu wiatru. Czas wlecze się niemiłosiernie. Aśka z Doktorą wypatrują z nadzieją taksówki. Za każdym razem kiedy dojrzą jakąś na horyzoncie po chwili okazuje się, że to jednak nie ta. Po pewnym czasie dają sobie spokój. Mija jedna godzina, druga... Idę pospacerować sobie po wodzie. Inne siedziska pod parasolami zajmują turyści z Izraela. Kilkoro z nich co jakiś czas wyławia z rafy wielkie muszle. Trzecia godzina czekania. Postanawiamy uciąć sobie drzemkę. Kiedy budzę się mijają już ponad cztery godziny od momentu powrotu z kanionu. Aśka z Doktorą ponownie wypatrują taksówki. Kiedy mija dokładnie pięć godzin, postanawiamy znaleźć taksówkę na własną rękę, ale dokładnie w tym momencie podjeżdża nasz kierowca. Jest bardzo zdziwiony i mówi, że jest punktualnie, tak jak kazano mu się stawić.

Wracamy do Dahabu. Zaczynają się jednak kłopoty. W samochodzie gotuje się woda i po drodze co chwilę musimy stawać, aby temperatura spadła. Poza tym cały czas droga pnie się w górę, więc co auto wystygnie, to zaraz ponownie się nagrzewa. Jadąc w tym żółtym tempie mijamy nieliczne stada dzikich wielbłądów. Zarówno dużych jak i małych. tymczasem docieramy do końca wzniesień i spokojnie możemy jechać. Pomimo naszych wielkich obaw, jednak dojedziemy z powrotem do Dahabu. W hotelu lądujemy przed 19. Wykonujemy krótką rozmowę z właścicielem hotelu w sprawie naszej wycieczki. Wynika w sumie, że wyszło nieporozumienie i każda ze stron nie dogadała się. Postanawiamy machnąć na to ręką, bo jesteśmy zmęczeni tym dniem. W każdym razie Kolorowy Kanion widzieliśmy, no i był wart tej jazdy.

Głodni pędzimy na obiad. Dzisiaj zamawiamy egipskie pizze. Pizza jest na cienkim cieście, jak francuskie. Na to kładzie się składniki i całość przykrywa się resztą ciasta. Muszę powiedzieć, że jest bardzo smaczna. Jem pizzę z mięsem.

Wieczorem znowu spacerek. Chodzimy z Pawłem od agencji turystycznej do agencji dowiadując się o autobus i prom do Hurghady. Wszędzie dostajemy inne informacje – co do czasu przejazdu, jak i ceny, a także dni kursowania promu. W każdym razie prom odpada, bo jest w sumie trzy razy droższy od autobusu. Zostaje nam więc ta druga możliwość o niepewnej długości czasu przejazdu. Trzeba będzie wyjechać z Dahabu dzień wcześniej niż zamierzaliśmy i ewentualnie jedną noc przenocować w Hurghadzie.

Zaczynamy intensywnie myśleć, co zrobić, gdyż chcieliśmy jeszcze jechać do Sharm al Sheiku na rafy koralowe. Postanawiamy poszukać miejsca w Dahabie, w którym można byłoby popływać na rafie. Zachodzimy do jednej z agencji nurkowania znajdującej się na nadmorskim bulwarze. Okazuje się, że jest to polsko-czeska baza nurkowa i urzędują w niej Polacy, pochodzący ze Śląska. Proponują nam wyjazd na rafę za 3 dolary od osoby. Cena jest przystępna. Postanawiamy jutro zafundować sobie tę przyjemność. Przy okazji pracownicy bazy nurkowej opowiadają nam kilka ciekawych rzeczy. Dowiadujemy się, że w Dahabie przez 350 dni w roku wieje i jest to całkiem normalne. Dzieje się tak, na skutek wiatru wiejącego z gór Arabii Saudyjskiej, który z kolei dociera na Synaj i odbija się od tutejszych gór tworząc w Dahabie i okolicy swoisty wietrzny kocioł. Poza tym dowiadujemy się, że trzy dni temu w wodach Dahabu pływał rekin.

W drodze do hotelu kupujemy zapasy słoików z dżemem figowym, którym od miesiąca żywimy się jedząc śniadania. Owe słoiki zabierzemy do domu. Niech rodzina spróbuje słodkiego przysmaku.

Cóż to był za dzień. Już nie możemy doczekać się jutrzejszego, kiedy to będziemy mogli zobaczyć z bliska rafę koralową i żyjące na niej rybki.

12 sierpień 2003

Dzisiaj zbyt wcześnie nie wstajemy. Trzeba odespać wczorajszy morderczy dzień z wyprawą do kanionu. Późne śniadanie stanowi po raz kolejny omlet jajeczny zamówiony u dziadka z knajpki na przeciw. Dziadek tym razem nie próbuje nas oszukać, bo wie, że potrafimy dobrze liczyć. Potem dziewczyny idą na plażę, a Paweł z Rafałem do bazy nurkowej, aby ustalić szczegóły dzisiejszego wyjazdu na rafę.

Na plaży znowu zaczął się odpływ. Z każdą minutą odsłania coraz większą połąć morskiego dna. Świetnie. Kolejny raz mogę szukać ślicznych muszelek. Z moją dziurawą stopą kuśtykam po plaży. Poza tym poluję na pomykające krabiki w muszelkach. Żeby zrobić im kilka ciekawych zdjęć trzeba solidnie się namęczyć. Czekanie aż krab wylezie ze skorupki trochę trwa, a poza tym nie ma się pewności, w którą stronę ów krab będzie biegł. Trzeba dobrze ustawić się do zdjęcia, bo nawet najmniejszy ruch fotografującego powoduje, iż krab chowa się do muszelki.

Paweł z Rafałem przez bazę nurkową próbują potwierdzić godzinę wylotu naszego samolotu z Hurghady do Polski. Podobno ma wylecieć w południe. W Hurghadzie dowiemy się dokładniej.

Po plażowaniu pędzimy wypożyczyć sprzęt do snoorkowania, czyli zaopatrzyć się w maskę, płetwy i rurki. Jeep zabiera nas do miejsca zwanego Blue Hole – Błękitna Dziura. Po raz już nie wiem który jedziemy bezdrożami. Z jednej strony mamy wodę Zatoki Akaby, a z drugiej pasmo gór. Jest to rzeczywiście dziura w dnie morskim, gdzie głębokość sięga do 100 metrów. Już nawet przy samym brzegu jest około 6-7 metrów głębokości.

U celu widać spory tłum snoorkujących turystów. Siadamy w „boksie” na poduszkach i przygotowujemy się do pierwszego spotkania z rafą. Mam dość sporego pietra, gdyż głębokość jest znaczna, a moje umiejętności pływackie pozostawiają sporo do życzenia. Toteż pierwsze pół godziny spędzam przy jednym z wejść do wody, stojąc na kamieniu, lub trzymając się rafy. Co do samego wejścia, muszę powiedzieć, że stoi przy nim drogowskaz z angielskim napisem „easy entr”. Arabom chyba nie przeszkadza pisanie z błędami. Grunt, że wszyscy i tak rozumieją o co chodzi.

Co chwilę ktoś wchodzi do wody, żeby pooglądać wodny świat rafy. Zaczynam ośmielać się i leżę na wodzie przy rafie i na wszelki wypadek kurczowo się jej trzymam. Trzeba bardzo uważać, gdyż rafa naszpikowana jest kolczastymi jeżowcami. Gdyby kolec jeżowca wbił się w skórę, mógłby go wyjąć tylko chirurg. Zaglądam ciekawie pod wodę, a tam tuż przy samej powierzchni rozpoczyna się barwny świat ryb żyjących na rafie. Wcale nie przejmują się, licznym towarzystwem ludzi. Pochłonięte są zdobywaniem pożywienia. Na mnie największe wrażenie wywierają płaskie, fioletowe rybki z żółtym ogonkiem. Paweł kupił aparat głupawkę do robienia zdjęć pod wodą. Ciekawe co mu z tego wyjdzie. Reszta z nas posiadająca umiejętności pływackie zapuszcza się w dalsze rejony. Wracają i dzielą się wrażeniami, tak że i ja mam ochotę popłynąć dalej i zobaczyć, jak wygląda rafa w innym miejscu. Jednak oczywiście nie sama. Na pierwszą wycieczkę zabiera mnie Ewa. Rybek jest znacznie więcej, robi się coraz głębiej. Rybki są wszędzie, koło mnie, pode mną. Gdzieś w dole widać nurków, którzy penetrują dno. Widzę rybę motylka, która ma płetwy niczym skrzydła motyla. Dookoła rafa koralowa porośnięta dziwną roślinnością.

Nie tylko głębokość mnie straszy, ale również znaczne obawy budzi mój aparat na zębach. Przez niego rurka źle układa mi się w ustach i co jakiś czas wlewa mi się trochę bardzo słonej morskiej wody. Boję się, że mogę się zachłysnąć wodą.

Na kolejną wycieczkę zabiera mnie Rafał. Jest ratownikiem, więc jakby co to... Płyniemy dużo dalej, aż za rafę w obręb fal. Teraz to już w ogóle mam pietra, bo falująca woda wpada mi do rurki. Jednak ciekawość jest większa i chcę zobaczyć co jest dalej. Tutaj dopiero jest rafa – niczym wielobarwny, piękny ogród z podmorską roślinnością. Ryb z kolei nie da się policzyć. Są duże i małe, kolorowe i nie wyróżniające się niczym szczególnym. Nawet przepływamy przez jedną z ławic składającą się z dziesiątek małych rybek. Woda na skutek załamania się promieni świetlnych przybrała przepiękny błękitny kolor. No tak przecież to błękitna dziura. Dna nie widać. Nawet nie chcę myśleć, jak jest głęboko. Od tego patrzenia moje oczy robią się niczym pięćzłotówki, a może i jeszcze większe. Czuję się jakbym była w wielkim akwarium. Jest super.

Jedno z wejść zaatakowała spora wycieczka, która przyjechała kilkoma jeepami. Patrzę na to kłębowisko ludzi w wodzie i aż się dziwię, że nie wpadają na siebie. Bałabym się, że w takiej sytuacji, ktoś niechcący szturchnąłby mnie, a ja poszłabym na dno.

Po czterech godzinach pływania przyjeżdża po nas jeep i wracamy do Dahabu. Ruszamy prosto w kierunku restauracyjek gdyż woda i pływanie, nie mówiąc o nadmiarze wrażeń, sprawiły, że zgłodnieliśmy. Paweł z Rafałem idą zjeść... rekina. Ja zamawiam danie z menu o nazwie „spagetti polonesse”. Hmm, jeśli polskie to czemu by tego nie spróbować? To znowu arabski chochlik. Po raz kolejny zamienili literę B na P. W Dahabie widziałam też napis „clup”. Widać wszystko im jedno. A co do spagetti - jest niezłe. Na dodatek z wołowiną.

Wieczorem przychodzi czas na zrobienie zakupów w lokalnych sklepikach. Każdy chce kupić sobie coś na pamiątkę. Czy to koszulkę, czy kolejny zapach perfum. Paweł z Rafałem zostają w hotelu, bo nie mają zamiaru włóczyć się z „babami” po sklepach. I dobrze, przynajmniej nie będą marudzić. Idziemy więc we cztery. Najpierw idziemy do sklepiku, w którym upatrzyliśmy sobie wcześniej małe flakoniki do perfumów. Sprzedający Arab doskonale nas pamiętał. Zaczynamy wybierać, całkiem pokaźną ilość. Najlepsza w targowaniu jest Ewa, więc i tym razem próbuje zmniejszyć cenę i oczywiście jej się to udaje. Po zakupie Arabowie zaczynają pakowanie tych małych, delikatnych flakoników. Robią to w taki sposób, że mam wrażenie, iż już popękały przy wkładaniu do pudełek. Arabowie śmieją się i zapewniają, że nic im nie będzie. Dojadą całe. Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Postanawiamy zanieść je do hotelu, żeby nie przeszkadzały w dalszych zakupach. W hotelu nie zastajemy naszych kolegów... No tak z nami iść nie chcieli, ale sami i owszem poszli.

Spacerując po sklepikach oczywiście ich spotkamy. Kupowali dla siebie koszulki. Po drodze zatrzymujemy się wszyscy na dłużej w sklepie muzycznym, aby zaopatrzyć się w oryginalną muzykę arabską. Zakupy trwają do 23 z obowiązkowym wypiciem na koniec koktajlu bananowego i soku z mango. O północy w hotelu pijemy wódeczkę, a Ewa z Rafałem biegną kupić jeszcze perfumy. Zakupy po północy w Egipcie? Dlaczego nie? O tej porze wszystko jest czynne.

Idziemy spać. Jutro opuszczamy Synaj.

13 sierpień 2003

Wysypiamy się, gdyż czeka nas trudna podróż. Według optymistycznych źródeł czeka nas dwanaście godzin jazdy autobusem do Hurghady. Rano ponownie na śniadanie idziemy do dziadka. Na śniadanie przychodzi nam czekać wieczność. A ja na domiar złego jestem potwornie głodna. Niczym wilk. Jednak nasz dziadek jest zajęty obsługiwaniem ośmioosobowej grupy Hiszpanów. Dwoi się przy nich i troi. To tak, jak przy nas kiedy

przyszliśmy do niego po raz pierwszy. Ciekawe na ile uda mu się orznąć Hiszpanów. Od nas przyjął zamówienie i poleciał dalej do Hiszpanów. Czekamy i czekamy. Po długim czasie znowu podbiega do nas i pyta co chcemy jeść na śniadanie. Jak to co??? Przecież złożyliśmy jakiś czas temu zamówienie!!! Jestem zła i dość ostrym tonem mówię dziadkowi, że jestem głodna. Wtedy, niczym za machnięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się zamówione przez nas śniadanie.

Po śniadaniu ostatnie zakupy. Doktora odbiera zamówione dzień wcześniej kolczyki. Ostatnie opalanie na plaży. Koło południa Paweł z Rafałem jadą na dworzec autobusowy kupić bilety na dzisiejszy przejazd. Kiedy wracają z biletami, nie pozostaje nam nic innego jak wyruszyć na obiad. Zamawiamy zupę, ryż, sałatkę - po raz setny tę samą oraz wołowinę w sosie z zieloną fasolką. W przeciwieństwie do reszty, mnie smakuje. Tłustymi kawałkami znalezionymi w swoich talerzach karmią koty, licznie szwędające się obok stolika. Koty w Egipcie nie przypominają naszych. Często są dużo mniejsze, nie mówiąc już o tym, że straszliwie chude. Za to kolorami egipskim kotom nie ma równych. Każdy jest inny.

Przed 16 właściciel hotelu załatwia dla nas małą ciężaróweczkę i jedziemy na dworzec. Po kilkunastu minutach pojawia się autobus. Zajmujemy miejsca. Na nieszczęście moje i Pawła nasze siedzenia są jakoś bardzo blisko poprzedzających, które zajmują Doktora z Aśką. Nie pozwalamy im ich rozłożyć, bo wtedy nie mielibyśmy co zrobić z naszymi nogami.

Trasa do Hurghady jest dość zawiła, gdyż najpierw jedziemy dalej na południe wzdłuż Zatoki Akaby do Sharmu, a dopiero potem kierujemy się na północ wzdłuż wybrzeży Zatoki Sueskiej i przez Suez do Hurghady. Po drodze co jakiś czas mijamy kolejne punkty kontrolne, gdzie mamy sprawdzane paszporty. Przez cały czas w autobusie głośno gra telewizor. Arabowie mają chyba coś ze słuchem. Zresztą jest trochę popsuty i co chwilę z monitora znika obraz. Arabowie wskrzeszają go dość silnym uderzeniem. Obraz powraca, ale nie na długo. Kolejne uderzenie w telewizor i tak całą noc. Aśka przez to nie może zmrużyć oka.

Gdzieś w nocy zostajemy obudzeni. Policja turystyczna każe wszystkim wysiadać i wyciągać bagaże z luków. Sprawdza dokładnie paszporty i wrywkowo grzebie w arabskich torbach. Nas raczej omijają.

Dokładnie o 4:45 zostajemy ponownie obudzeni. Przybyliśmy do Hurghady. W popłochu zaczynamy zbierać swoje rzeczy i wysiadać. Przez to zapominamy o siatce z nietkniętym jeszcze śniadaniem. Odjeżdża w kierunku Luksoru. Mówi się trudno. Dobrze, że to śniadanie, a nie co innego.

Stojąc na chodniku rozglądamy się, gdzie my właściwie wylądowaliśmy. No tak, autobus zatrzymał się na głównej ulicy nie wjeżdżając na teren dworca. Hmm i teraz wszystko jasne. Miesiąc temu czekaliśmy na dworcu na autobus do Luksoru i nie mogliśmy się doczekać. Wynika z tego, że autobusy przejeżdżały przez miasto omijając dworzec i tyle je widziano. Co za kraj.

Zaraz przy autobusie łapią nas hotelowi naganiacze. W końcu decydujemy się jechać z nimi. Proponują nocleg za 20 funtów z możliwością zostania do jutrzejszego wylotu. W tak drogim hotelu, to jeszcze nie nocowaliśmy. Najdroższy był za 15 funtów.

Trzej Arabowie ładują nas do swojej taksówki. Ruszamy. Wieje silny wiatr. W pewnej chwili wiatr porywa plastikowe krzesło i przenosi je na ulicę. Jedziemy dość szybko. Kierowca widząc krzesło nawet nie zwalnia. Widzę tylko, jak na zwolnionym filmie zbliżające się krzesło i nagle... TRRRACH. Słychać trzask. Auto wjeżdża w krzesło. Nie pozostaje z niego nic oprócz drobnych, latających kawałków plastiku. Podjeżdżamy pod hotel, ale nie ma w nim miejsc. Arabowie wiozą nas więc do innego.

5:30 rano... zameldowani w hotelu „Queen” wskakujemy do łóżek. Co za ulga dla moich nóg, po jeździe w tym niewygodnym autobusie.

14 sierpień 2003

Wstajemy z Pawłem barbarzyńsko późno, bo dopiero o 11, gdy Ewa z Rafałem wracają ze śniadania. Przynoszą ze sobą dość niepokojące wiadomości. W recepcji czekają, że się zaraz wymeldujemy z hotelu. W takim razie za co płaciliśmy te 20 funtów??? Za pięć godzin? Rafał z Pawłem idą negocjować cenę. Udaje im się załatwić jeden nocleg za 11 funtów, a drugi za 20. No niech będzie.

Takiego pokoju to rzeczywiście jeszcze nie mieliśmy. Wszystko jest czyste. Mamy tutaj nawet sprawną lodówkę. Chłodzimy w niej resztkę alkoholu na dzisiejszy ostatni wieczór w Egipcie. W zasadzie nie pisałam jeszcze niczego o łazienkach w hotelach. Wraz z toaletą znajduje się prysznic. Kiedy się z niego korzysta woda leje się na toaletę. Nie ma też brodzika, a woda rozlewa się po łazience. Po skończonym myciu należy specjalną gumką na kiju zepchnąć wodę do odpływu.

Jesteśmy w Hurghadzie dokąd zmierza większość polskich wycieczek. Z szyldów na sklepach stwierdzamy, iż przyjeżdżającymi tutaj turystami w głównej mierze są Rosjanie. Nawet arbuza Arabowie sprzedają nam w języku rosyjskim.

Hurghada była niegdyś spokojną osadą rybacką, od lat siedemdziesiątych wciąż rozbudowywaną. Dzisiaj jest miastem liczącym 35 tys. mieszkańców i turystów. Sławę swą osiągnęła dzięki wspaniałemu usytuowaniu nad lazurowym, kryształowo czystym Morzem Czerwonym obfitującym w bajecznie kolorowe podwodne łąki raf koralowych. Główna ulica, biegnąca równoległe do morza, oddziela pustynię od części, w której usytuowane są luksusowe hotele. Hurghada znana jest z możliwości uprawiania sportów wodnych. Bliskość bezkresnej pustyni, malowniczy łańcuch górski, cicha i spokojna okolica, ciepłe morze, piękne baseny, czyste powietrze. To walory, które przyciągają jak magnes turystów z całego świata.

Idziemy do małej knajpki sprzedającej różne rodzaje nadziewanych chlebków. Zjadam aż trzy - ziemniaczanego i dwa jajeczne. Jajka nie dość, że są ugotowane to jeszcze zapiekane. Bardzo smaczne.

Po śniadaniu udajemy się na tzw. plażę publiczną po raz ostatni złapać promienie egipskiego słońca. Idziemy i idziemy, ale nigdzie nie możemy dojść na plażę, gdyż odgradzają ją od ulicy szeregi hoteli. W końcu docieramy. Turystów obcokrajowców oczywiście nie ma. Jest kilkoro Arabów, którzy ani myślą teraz gdziekolwiek iść, bo mają widoki na Europejki. Z pływania niestety nici, bo jest bardzo płytko, wody raptem po kolana, ponadto rozpoczął się odpływ. Brodzimy więc tylko dla ochłody. Znajdujemy w niej ogromną, kulistą meduzę w kolorze fioleto. Potem pojawiają się jeżowce. No cóż plaża, jak widać nie należy do bezpiecznych. Postanawiamy dalej nie zapuszczać się.

W międzyczasie Paweł dzwoni do rezydenta z biura Oasis Tours. Potwierdza godzinę 14, jako czas wylotu samolotu do Warszawy. Zobaczymy, jak to będzie jutro.

Na plaży siedzimy do 16, a potem zbieramy się z powrotem do hotelu, bo słońce już się nam daje nieźle we znaki. I tak cud, że wytrzymaaliśmy do tej godziny, siedząc i smażąc się na słońcu.

Przez pewien czas siedzimy w pokojach, a potem idziemy poszukać restauracyjki w której zjemy smaczny ostatni obiad w Egipcie. Po kilkunastu minutach znajdujemy miejsce z przystępnymi cenami, bo w Hurghadzie ceny są dużo wyższe niż w innych miejscach. Jak na ostatni egipski obiad, to wcale takiego nie przypomina, gdyż zamawiamy pizzę, warzywną zupę i do tego... frytki. Poza tym idziemy na ostatni sok z mango. Będzie nam go bardzo brakowało w Polsce.

Po obiedzie postanawiamy pójść do pobliskiego akwarium. Prowadzi je młody zapaleniec, który skończył historię starożytnego Egiptu, ale kocha ryby. Zresztą sam je łapie i umieszcza w akwariach. Bardzo szczegółowo opowiada nam o rybach znajdujących się w

jego kolekcji. Spotykam moje ulubione fioletowe rybki, które okazują się być dość niebezpiecznymi, gdyż w razie zagrożenia pokazują ostry szpikulec.

W akwarium znajduje się sporo niebezpiecznych ryb. Najciekawszą z nich jest stonefish (ryba kamień), która swym wyglądem bardzo upodobniła się właśnie do kamienia. Jest jeszcze o tyle ciekawa, że należy do ryb bardzo leniwych. Arab wkłada rękę do akwarium i specjalnie szturcha dwie ryby, a one zamiast płynąć praktycznie pełzną po dnie. Są niesamowite. Inna pokazana nam ryba, gdy czuje się zagrożona zmienia ubarwienie. Arab i tym razem prowokuje rybę do zmiany koloru. I rzeczywiście ryba z pomarańczowej robi się czerwona, tak jakby się zezłościła. Prawdziwą ciekawostką jest langusta, coś w rodzaju wielkiego raka, albo homara. Jest w pięknym granatowym kolorze. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałam. Oglądamy jej stary pancerz, który jakiś czas temu zrzuciła. Całe to miejsce jest fantastyczne. Inne akwaria zajmuje wiele niegroźnych kolorowych rybek: żółtych, pomarańczowych czy też w wielobarwne paski.

Po zwiedzaniu, w ramach biletu udajemy się do restauracji obok na małą szklaneczką soku.

Wieczorem, już w hotelu, siadamy do ostatniego spotkania przy alkoholu oraz zjadamy arabskiego arbuza i melona.

15 sierpień 2003. Dzień ostatni

Wstajemy po 8 rano. Dzień rozpoczynamy od dokładnego pakowania plecaków. Rzeczy kruche, ładują w bagażu podręcznym. Potem śniadanie, które jemy w hotelu. Po raz ostatni dostajemy egipskie bułeczki i figowy dżem. Znowu dostajemy masło, którego nikt za bardzo nie chce jeść, bo po otworzeniu śmierdzi, jakby się zepsuło. Od jutra będziemy jeść polskie jedzenie. Po śniadaniu biegniemy jeszcze do falaflowej knajpki i kupujemy kilka nadziewanych chlebków. Zjemy je przed wylotem na lotnisku. Na koniec szybki prysznic i przed 11 opuszczamy hotel, jadąc taksówką na lotnisko.

Gdy wchodzimy do głównej hali, naszym oczom ukazuje się na wyświetlaczu napis, że nasz samolot wylatuje o... 12:00. Jednak przy stanowisku odpraw nie ma żadnych Polaków. Gdy próbujemy wyjaśnić tę sytuację, okazuje się, że... to może być pomyłka. Po naszej interwencji napis po prostu znika. Musimy czekać. Po jakimś czasie na tablicy odlotów pokazuje się nasz samolot. Hmm, jego godzina odlotu to 15! A nie czasem 14? Przecież taką godzinę nam podano i potwierdzano! Na dodatek napis pod godziną głosi, że samolot odlatuje... planowo! Może dla Arabów jest to planowo. Mamy nadzieję, że już nic się nie zmieni. Chcielibyśmy dotrzeć do domu o w miarę normalnej porze, gdyż jutro o 13 Paweł, ja, Ewa i Rafał idziemy na wesele w Rybniku. Ciekawe, jak wytrzymają to moje stopy, bo wcale nie jest z nimi rewelacyjnie.

Postanawiamy czekać twardo przy stanowisku, gdzie mają wydawać karty pokładowe. Jesteśmy pierwsi więc jak dobrze pójdzie dostaniemy bilety przy oknach. W końcu też zjawiają się uczestnicy wycieczki z Oasis Tours. Jak się okazuje turyści, którzy jechali do Egiptu dwa tygodnie temu mieli również spore - pięciogodzinne opóźnienie. Podobno egipskie linie FlashAir nie płaciły za operacje lotniskowe. Stąd też z czasem wylotu działy się takie cuda. Ciekawe w takim razie kiedy padną.

Na lotnisku zjadamy falafle, co budzi w siedzących Polakach dość spore zdziwienie. Przyglądają się co jemy. Ciekawe, co też sobie o nas myślą. Nasze kanapki pozawijane są w jakiś szary papier...

Gdy mija południe zaczynają wydawać karty pokładowe. Mój bagaż ładuje na wadze, ale tu czeka niespodzianka. Waga nie działa. Tak więc moje obawy, że mogę przekroczyć regulaminowe 20 kilogramów bagażu stają się bez znaczenia. I tak tego nie ma czym zważyć.

Potem odprawa paszportowa i już jesteśmy w strefie wolnocłowej. Hmm, ceny są z kosmosu. Ostanie funty starczą nam jedynie na zakup pocztówek. Za to bardzo ładnych.

Polacy biegają po sklepach. Ich, jakoś ceny nie przerażają. Słyszę rozmowę kilku Polek. Jedna mówi, że spodziewała się tutaj wyższych cen, a one są porównywalne z cenami w Hurghadzie.

Ewa oczywiście odlatuje szybciej niż my. Jej lot po raz drugi jest punktualnie. Będzie musiała w Warszawie czekać na nas tylko godzinę. Oby... Przechodzimy na naszą halę oczekiwań. Obserwujemy innych Polaków zmierzających do Polski tym samym samolotem, co my. W swoim hotelu musieli mieć fryzjera, gdyż spora grupa kobiet z wycieczki ma porobione na głowie dziesiątki warkoczyków. Idiotycznie to wygląda. Każdy przywozi różne pamiątki z wakacji. Jak widać są tacy, co wolą przywieźć nową fryzurę.

Samolot do Warszawy pojawia się punktualnie. Mały autobus podwozi nas do samolotu. Ostanie dotknięcie płyty lotniska i wsiadamy do samolotu. Coniektórzy Polacy fotografują się z samolotem...

Mamy z Pawłem ostatnie miejsca w samolocie tuż przy oknie. Aśka, Doktor i Rafał siedzą w innych miejscach.

Samolot powoli rusza na pas startowy i zajmuje pozycję. Chwila startu, nieprzyjemny moment i jesteśmy w powietrzu. Z naszego okna mamy niesamowity widok. Niebo nad Egiptem czyste niczym lza. Widać Morze Czerwone, góry, potem przelatujemy nad Kairem, Deltą Nilu. W końcu opuszczamy terytorium Egiptu i samolot wlatuje na wody Morza Śródziemnego i po jakimś czasie dociera do wybrzeży Turcji. Robimy ostatnie zdjęcia z okna samolotu. No i nagle Morze Czarne. Jeszcze chwila, a wlecimy nad Europę. Rumunia. Gdzieś w dole widzę sporą rzekę, to zapewne Dunaj. Tutaj zaczynają pojawiać się chmury. Im bardziej na północ tym, bardziej zagęszczone. Ziemię widać tylko przez małe prześwity pomiędzy chmurami.

Trójka Polaków siedząca w drugim rzędzie narzeka, gdyż ich siedzenia z racji tego, iż są ostanie nie rozkładają się. Dochodzą do wniosku, że takie miejsca w samolocie powinny być tańsze... Polak potrafi wymyśleć...

W samolocie obok nas siedzi mężczyzna, który z całego Egiptu widział tylko Kair – piramidy i muzeum. Jego wycieczka zrezygnowała z Luksoru, bo stwierdzili, że jest za gorąco, poza tym kosztowało to dodatkowe 60\$ od osoby. Rety to praktycznie nasz budżet na sześć dni! Ludzie, co siedzą koło nas są lekko zdziwieni, tym, że byliśmy w Egipcie cały miesiąc wykupując w biurze wyłącznie lot. Zaczęli wypytywać nas o to gdzie spaliśmy. Hmm, jakbyśmy mieli spać na ulicy... Szczytem było pytanie jednej pani, która była ciekawa skąd braliśmy bułki na śniadanie. Panie były zdziwione, kiedy powiedzieliśmy, że normalnie kupowaliśmy w sklepie lub na ulicy. Nieźle. Nie ma to jak polski turysta zagranicą. Owszem był w tym kraju, ale siedział w hotelu na basenie i tyle widział. Jednak kiedy wróci do kraju wszem i wobec będzie ogłaszał, że był w Egipcie. Jednak z drugiej strony nie każdy lubi intensywną turystykę.

Na pokładzie samolotu dostajemy obiad. To samo, co w drodze do Egiptu. Oczywiście znowu mi smakuje. Ludzie zabierają się za jedzenie. Czuć zapach tego wstrętnego masła.

Słysząc kolejną rozmowę - egipskiego stewarda i Polaka. Arab pyta czy w Polsce jest szysza. Polak zastanawia się chwilę, po czym odpowiada: „haszysz? No haszysz, no haszysz...” Ehh turyści.

Podczas lotu stewardessa roznosi ankiety do wypełnienia. Dotyczą linii FlashAir. Wypełniamy więc ją z zainteresowaniem, aby dać najniższą notę za punktualność. Paweł nawet dopisuje kilka zdań na ten temat.

Od pewnego czasu lecimy nad Polską. Wlatujemy gdzieś od południa. Wydaje mi się, że przelatujemy nad zbiornikiem Rożnowskim. Za niespełną godzinę wylądujemy w

Warszawie, a tymczasem samolotem dość znacznie rzuca raz w górę, raz w dół. Momentami żołądek podchodzi do gardła. Oczywiście torebek na „niespodzianki” nie ma, bo po co?

Za chwilę lądowanie. Pasy zapięte. Samolot powoli obniża wysokość lotu. Chmury rozstępują się. Za oknem polskie pola i zielone lasy. Jakże pięknie one wyglądają. Bez nich powierzchnia jest taka surowa. Jeszcze kilka minut i wylądujemy na lotnisku. Lądujemy. Samolot kołami dotyka pasa. Wszyscy w samolocie biją brawo za szczęśliwe lądowanie. Pilot informuje nas, że w Warszawie temperatura 28 stopni. Wsiadamy. Brrr, ale zimno. To ma być 28 stopni? Parę chwil i jesteśmy przy wyjściu. Ewa już tam na nas czeka. Jest też koleżanka Aśki, która zabiera ją do siebie. Żegnamy się z Aśką. Pozostali jadą na dworzec centralny.

Pociąg za jakiś czas. Trzeba coś zjeść. W dworcowym podziemiu przechodzimy obok „Lukсор kebab”. Mają nawet falafle z mielonego groszku... Idziemy jednak do McDonalda zjeść coś „polskiego”. Kiedy nadchodzi pora, wsiadamy do pociągu i odjeżdżamy w kierunku Katowic.

Wyprawa dobiegła końca. Jesteśmy w Polsce. Koniec upałów, targowania się, szukania noclegu, jedzenia na okrągło tego samego, uważania na to czy ktoś nas nie oszukuje.

Jaki jest więc Egipt? Bardzo zróżnicowany, Większość obszaru pokryta jest jałowa pustynią, a żyzne oazy z nieskończoną ilością palm daktylowych, na bezkresie pustyni są niczym wyspy. Największą oazę stanowi dolina Nilu. W zasadzie bez niego nie byłoby Egiptu.

Osobliwością są rafy koralowe w krystalicznych wodach Morza Czerwonego. Wrażenie robią góry na Synaju, pozbawione jakiegokolwiek roślinności, ukazując wielobarwne skały.

Ten fantastyczny krajobraz zakłócają niechlujne miasta oraz obskurne i biedne wsie. Egipskie miejscowości zasypane są śmieciami, którymi nikt nie zawraca sobie głowy. Jednym z najmniej sympatycznych miejsc jest Aleksandria – z ludźmi nie znającymi języka angielskiego. Kairczycy również nie wydają się zbyt przyjaźni, gdyż każda rozmowa kończy się wciąganiem do sklepiku. Jak mawiają „no bakszysz, no money”, ale po chwili zaczynają opowiadać, że mieszkają w pobliżu i mają swój sklepik... Są jednak miejsca przyjazne obcokrajowcom. Choćby oaza Siwa. Nikt nikogo nie nagabuje. Chcesz to kupisz, nie chcesz to nie, twoja sprawa. Bakszysz to tradycja Arabów. Tak być musi i koniec. Targowanie to również tradycja. Bez tego sprzedawanie i kupowanie nie byłoby tak ekscytujące.

Arabowie prowadzą bogate życie uliczne, które trwa do późnych godzin nocnych. Ubrani są w większości w tradycyjne dżelabije. Arabskie kobiety również nie poddają się zachodniej modzie i chodzą w długich szatach, często z zasłoniętą twarzą. W życiu codziennym, nie mają wiele do powiedzenia. Za mąż wydaje je rodzina. Potem bezwzględnie podlegają mężowi.

Islam - religia Arabów. Muzułmanie w Egipcie są praktykującymi wyznawcami islamu. Nie tak, jak w Maroku. Tutaj do meczetów o każdej porze dnia, ściągają ludzie. Liczba zmierzających do meczetu zwiększa się znacznie, gdy nadchodzi pora modlitwy. Widok Araba wyciągającego dywan nie jest czymś niezwykłym. Nie ważne czy jest to chodnik przy ulicy, sklep, czy też korytarz bloku, rozkładają dywanik i ze swa modlitwą zawracają się ku Mekce. W piątek, będący świętym dniem tygodnia, meczety przeżywają prawdziwe obłędzenie wiernych.

Egipt – kraj biedny. Widać to na każdym kroku. Zaniedbane miasta, wsie, ludzie mieszkający na cmentarzach. Edukacja jest kosztowna, toteż większość ludzi kończy ją w wieku 12 lat, a przecież to w świecie arabskim powstawały podwaliny wielu nauk, istniała starożytna biblioteka, żyli wielcy myśliciele.

Poznaliśmy jednak kraj o odmiennej kulturze. Całkowicie innej niż nasza. Nauczyliśmy się też wielu nowych rzeczy. Jedno jest pewne. Dla mnie w Egipcie nie ma Egipcjan, to kraj arabski. Czasami pojawiają się enklawy Nubijczyków czy też Beduinów. Gdyby nie to, że egipskie zabytki ze świetlnych epok Egiptu, będące kunsztem myśli i techniki budowniczych, przynoszą Arabom zyski z turystyki, chyba nie przywiązywaliby do nich większej wagi.

„Ludzie boją się czasu, czas boi się piramid”. Arabskie przysłowie... mówi prawdę. Ludzie żyjący w Egipcie mają prawo obawiać się o swój niepewny los, który niesie przyszłość. Pokolenia odchodzą w niepamięć, ale nie piramidy. Czas boi się piramid, gdyż one pomimo jego upływu, niezłomnie trwają i są wizytówką przeszłości egipskiej potęgi. Przeszłości, która nie wróci.